



Boże, Tyś wielki...

Boże, Tyś wielki! Któż nie widzi Ciebie
W tych gwiazd rozbłyskach na¹⁹ bezmiernem niebie,
W kręgach wszechświatów, w żarnym blasku słońca,
W ciszy błękitów, tęsknocie miesiąca?...

Któż Cię nie widzi na obliczu ziemi
Z Twojej Wszechmądrości dziełami wielkimi:
W każdym stworzeniu, w każdym kwieciu polnym,
W szumie fal morskich i w wicherze swawolnym?

Któż Cię nie widzi w cmentarnych tęsknicach,
W huku piorunów, krwawych błyskawicach,
W poszumie borów, w uroku zieleni,
W muzyce ptasząt i szemrze strumieni?

Któż Cię nie widzi w gór posępnych czołach,
W pustynnym piasku — w chlebobajnych siołach...
W przejasnej tęczy przecudnem półkolu,
W życia słodyczy — i sierocym bolu?...

O, królujący na ziemi i niebie,
Któż w dziełach Twoich nie dostrzega Ciebie?
Tyś Wszechobecny, Wszechpotężny, Wieczny:
Kto w Tobie ufa, na wieki bezpieczny!...

Wojciech Byczek.

Problem kształcenia woli.

Kształcenie woli to sztuka prawdziwie królewska i należy do najtrudniejszych problemów pedagogicznych. W podawaniu sposobów jej doskonalenia nawet zwolennicy tych samych poglądów na świat różnią się między sobą zasadniczo. Jedni, wychodząc z założenia, że siła woli podlega stopniowaniu, radzą ćwiczyć ją początkowo w praktykowaniu cnót łatwiejszych i tak powoli zdążać do coraz trudniejszych; inni widzą w woli tylko proste „tak” lub „nie” i dlatego zalecają wprost: 1. oddać się całkowicie upatrzonemu celowi i nie dać się od niego odciągnąć najbardziej ponętnym pokusom; 2. zabierać się zawsze natychmiast do wykonania raz powziętego postanowienia; 3. nie zrażać się nigdy żadnymi przeciwnościami i 4. w dążeniu do celu być gotowym na największe choćby ofiary i cierpienia. Obydwie te teorie mimo różnicy w podawaniu środków, łączy wspólność tendencji do zespolenia działania człowieka z jego „ja”.

Zastanówmy się, które z tych zapatrywań co do środków urabiania woli odpowiada bardziej wynikom doświadczenia i pewniej wiedzie do celu.

Dawno już spostrzeżono, że zaprawianie się do praktykowania cnoty jednej czyni wolę ludzką skłonną także i do praktykowania innych. Zdanie więc tych, którzy przyznają woli możność stopniowania siły zapomocą odpowiednich ćwiczeń nie jest bezpodstawne, zwłaszcza że i praktyka Kościoła, tego wytrawnego mistrza i wychowawcy narodów, jego słuszość potwierdza. Wszak Święci, mimo że byli przejęci najwznioślejszymi ideałami religijnymi i byli najsilniej zdecydowani dążyć do jak najwyższej doskonałości moralnej, przedsiębrali najpierw ćwiczenia, by wolę swoją odpowiednio przysposobić i zahartować i poddawali się kierownictwu mistrzów życia duchownego. Ćwiczyli się oni początkowo w drobnych napozór rzeczach, aby po przezwycięzeniu pewnych trudności mogli zapomocą łaski bożej dotrzeć później do najwyższego ideału moralnego. Reguły zakonne i podręczniki ćwiczeń duchownych są prawdziwą szkołą kształcenia woli, którą nawet protestanci uznają. Dobrze jest, jeżeli ćwiczenia tego rodzaju obejmują całą dziedzinę życia moralnego, lecz jednostronne ćwiczenie się nie jest obojętne dla reszty cnót, gdyż przyczynia się do ogólnego pomnożenia siły woli i wytworzenia skłonności dla wszelkich moralnych celów. Jeżeli więc Święci uznawali uprzednie zahartowanie swej woli za konieczny warunek osiągnięcia wyższego stanu doskonałości, to i przy wychowaniu młodzieży tej samej metody należy się trzymać. Tylko przez systematyczne ćwiczenia zyskuje nasza wola siłę do zwycięskiego opierania się wszelkim trudnościom i zdolność wytrwałego dążenia ku raz ustalonemu celowi.

„Kultura” woli, która powinna być najwyższym i najistotniejszym celem wychowania, to nic innego jak tylko nowoczesna nazwa tego, co dawniej nazywano karnością albo dyscypliną a polega ona na podporządkowaniu niższych skłonności i popędów celom najwyższym. Karność zawsze bar-

dzo wysoko ceniono. Pismo św. powiada: „Mądrość bowiem i karność kto odrzuca, nieszczęsny jest: i próżna jest nadzieja ich i prace bez pożytku i sprawy ich niepożyteczne“ (Ks. Mądr. III, 11). Św. Paweł zaś napomina: „A wy ojcowie nie pobudzajcie ku gniewowi synów waszych, ale ich wychowajcie w karności i grozie Pańskiej“ (Ef. VI, 4). U nas w dawnej Polsce stosowano ściśle te słowa Pisma św. tak przy wychowaniu prywatnem w domu rodzicielskim, jak i publicznem w szkole, i mieliśmy dlatego charakteru. Wymagana zawsze dawniej w szkołach pilność w nauce bardzo kształciła wolę. Dzisiejsze ułatwianie i sprowadzenie nauki szkolnej do zabawy odbija się bardzo ujemnie na charakterze młodzieży.

Ćwiczenia woli nie można traktować abstrakcyjnie i niezależnie od życia i świata czyli jako celu samego w sobie, lecz powinno się ono zawsze odbywać tylko na tle konkretnych, życiowych wydarzeń. Mistrzem w technice kształcenia woli jest Payot, który pisze: „Gdy jesteś przejęty jaką pracą a wzywa cię kto, nie unoś się gniewem i nie obruszaj się, iż ci ją przerywają, lecz zmusz się spełnić chętnie i uprzejmie, o co cię proszą i idź, dokąd cię wołają. Gdy cię pociąga okno wystawy sklepowej, a już musisz wracać do domu, przejdź na drugą stronę ulicy i śpiesz dalej. Przez takie małe zwycięstwa przyzwyczajasz się panować nad swemi skłonnościami i być zawsze sobą. Nawet gdy śpisz albo idziesz na przechadzkę, niech się to dzieje dlatego, żeś sam tak chciał. Tak nauczysz się mądrości, opanujesz swą nieuważę, ociążałość, niecierpliwość przy przewracaniu kartek słownika, będziesz panem siebie i nic nie będziesz czynił bezmyślnie. Siła woli jest największą i najwspanialszą zdobyczą człowieka a osiągniesz ją, jeśli się nauczysz w drobnych rzeczach odnosić nad sobą zwycięstwa. Żadne z tych zwycięstw nie ginie, lecz ułatwia dalsze. Nasze działanie wywiera wpływ na nas samych i pozostawia w nas pewne predyspozycje: przyzwyczajwszy się np. do uwagi, będzie ci także łatwo przyzwyczać się iść szybko do pracy, czy też poruszenia namiętności tak traktować, jak drażnienia natrętnych much“.

Förster wykazuje, że istota kultury woli nie tyle leży w jej sile, energii i precyzyjności, gdyż takie przymioty może mieć nawet wola zbrodnia-rza, ile raczej w jej zdolności uniezależnienia się od niskich i samolubnych instynktów. Lindworsky (z Tow. Jez.) występując przeciwko systemowi Drill'a, polegającemu na kształceniu woli jako celu samego w sobie, wyraża na podstawie swoich badań zapatrywanie, że wola wogóle nie może wzrastać na sile a wartość jej polega tylko na należytem ustosunkowaniu się do działania.

Ponieważ wola jest właściwie funkcją całej naszej psychy, więc też i wykształcenie jej może wynikać tylko z wykształcenia wszystkich zmysłowych, zmysłowo-duchowych i duchowych władz człowieka. Przy daleko idącej zależności woli od stanu naszego ciała, musimy ćwiczenia ciała dokonywać pod kątem widzenia kształcenia woli; to ćwiczenie powinno spr-

wić, żeby ciało nie było balastem dla ducha, lecz jego podatnem i sprawnem narzędziem w myśl słów Apostoła: „Castigo corpus meum et in servitutum redigo“ (Cor. IX, 27). Starania współczesnej szkoły poświęcone ćwiczeniom cielesnym młodzieży, zasługują pod wielu względami na uznanie. Gimnastyka, zapasy, wycieczki, gdy są należycie pokierowane, wzmacniają nerwy i zdrowie, a wiadomo, że „zdrowy duch w zdrowem ciele“. Jest faktem, że gimnastyka ciała wytwarza szybkość decyzji, rączność działania, przytomność umysłową, zimną krew, roztropność, zaufanie we własne siły, uczy posłuszeństwa, cierpliwości, wytrwałości, celowego podporządkowania się i rezygnowania z wygód.

Wielką rolę w kształceniu woli przypisują niektórzy pedagogowie gimnastyce rytmicznej, gdyż dzięki niej czysto duchowe dyspozycje udzielają się ciału, które w ten sposób przyzwyczaja się ulegać duchowi. (Förster, Erziehung und Selbsterziehung).

Gdy jednak ćwiczenie ciała zamienia się, jak to dzisiaj nieraz widzimy, w sport, jako cel sam w sobie, to na wyrobienie woli nie ma ono już dodatniego wpływu. Ćwiczenie dla ćwiczenia nie jest dla zdrowia konieczne, a dla wyrobienia duchowego jest wprost zabójcze. Oczywiście, że można podnieść sport na wyższy poziom obyczajowy, lecz dla większości urok i pojęta jego leży w zawodach i renomie. Sport zdradza w swych konsekwencjach skłonność do materializmu, dla którego kultura ciała i higiena rasowa więcej znaczą niż jakieś tam „wyższe“ sprawy duchowe. Wszędzie tam, gdzie jednostronna kultura ciała staje się centralnym punktem wychowania, powstają przykre typy bezdusznych i powierzchownych tupetowiczów, zaufanych w siebie egoistów i bezwzględnych i nie uspołeczniczonych i nieczułych brutalów. Znanie jest powiedzenie greckiego poety Eurypidesa: „Dużo jest w Attyce draniów, ale do najgorszych należą atleci“...

O wiele większą wartość ma dla kształcenia woli praca, jeżeli jest pojęta nie tylko jako wyłączny środek korzyści lub zwyczajnie ćwiczenie mięśni, lecz bywa wykonywana w poczuciu spełniania społecznego obowiązku i z myślą skierowaną ku górze.

Ponieważ wola jest ściśle, jak to wyżej wspomniano, złączona z całym życiem duszy, więc kształcenie afektów i popędów i wogóle całej niższej strony pożądania ma dla urobienia woli kardynalne znaczenie. Ta niższa bowiem nasza natura może woli nałożyć wędzidła albo do wspaniałego lotu ją podnieść. Przy formowaniu woli nie należy przeto zmysłowej natury tępić, lecz ją opanowywać, uszlachetniać i w służbę natury wyższej zaprzęgać. Tak czynili zawsze chrześcijańscy asceci. Jeśli jednak chodzi o wywarcie trwalszego wpływu na wolę, to uczucia wyższe skuteczniej działają.

Należyte funkcjonowanie woli osiąga się głównie przez wyszkolenie rozumnej natury ludzkiej. Rozum ocenia wartość motywów, które nas do działania skłaniają; w nim zawsze widziano najważniejszy środek kształcenia woli. Pustelnicy i wszyscy chrześcijanie, którzy usiłowali dojść do

moralnej doskonałości, rozważaniu prawd objawionych wiele poświęcali czasu. Słuszne motywy skłaniają zawsze, przynajmniej w zasadzie, do należytego pokierowania swą wolą; taka już jest natura ludzka, że dąży chętnie tylko do tego, co uznaje za godne osiągnięcia. Wszelka rozterka duchowa wynika jedynie z niemożliwości należytego osądzenia wartości motywów, które nas pociągają.

Zwróćmy tutaj uwagę na pewne szczegóły. Jeżeli wola ma być wyrobiona na dalszą metę, to i motywy muszą mieć wartość niezmienną i działać nie tylko doraźnie, ale i na przyszłość. Szczególniejszej wartości są te motywy, które wiążą się z jakimś systemem czy poglądem na świat. Pamiętać także trzeba, że motywy pozytywne idą przed negatywnymi. Te ostatnie mogą, jeśli je zwłaszcza za często powtarza, stracić bardzo na sile. Odnosi się to nawet do najsilniejszych, do jakich należy wskazywanie na piekło. Trzeba także zbadać, jakimi dotąd motywami najbardziej powodował się nasz wychowanek i jakie najbardziej odpowiadają jego charakterowi i temperamentowi.

Najlepszym i nigdy nie zawodzącym środkiem kształcenia woli była zawsze, jest i będzie religja. Prawdę tę uznają nawet tacy, którzy o jej dogmatach nie chcą słyszeć, którzy religję uważają tylko za zjawisko jakieś psychologiczne, jak to czyni np. wspomniany już wyżej determinista Payot. Religja bowiem kładzie przed oczy ideę dobra, prawdy i piękna w jej najwyższym źródle, t. j. w Bogu; ona obiecuje nam za zastosowanie się do woli Najwyższego Jego wieczne posiadanie. Historia Kościoła podaje wzniosłe przykłady, które tak pociągają dusze młodzieży; ona opowiada o wspólnych czynach, dokonanych przy pomocy bożej przez ludzi; ona wykazuje, że ciągle trwała walka dobrego ze złem, ale że dobre przy końcu zawsze triumfuje.

Jakkolwiek problem wychowania woli jest bardzo trudny, nie jest jednak niemożliwy do pomyślnego rozwiązania, byle tylko szczerze pod tym względem nad młodzieżą pracować. Wiek młody, mimo swoich licznych słabości, ma bowiem i liczne dodatnie strony, jak np. poczucie i świadomość, czasem aż za przesadną, ambicję, siłę i daleko idących możliwości, co właśnie stanowi punkt zaczepienia przy urabianiu woli. Gdy wszelkie inne środki zawiodą, zawsze jeszcze można zaapelować do ambicji młodzieńca i powiedzieć mu: „Takiś zuch, a w tem czy owem, chociaż to tylko drobnotka, opanować się nie umiesz”...

Skutek tej apelacji będzie zawsze dodatni.

(Gazeta Kościelna).

*Chcesz być swego narodu chlubą i ozdobą,
Nie chwal się, ale pracuj sumiennie nad sobą.*

Bp. Krasiński.

Na święto Bożego Ciała.

Wśród dźwięków rozkołysanych dzwonów i rozśpiewanych piersi ludzkich z podniesionemi ku słońcu chorągwiami i sztandarami, płynie różnobarwna fala ludzka, a pośrodku niej kapłan, niosący Monstrancję, w której pod postacią chleba kryje się żywy Bóg-człowiek, tajemnica niezgłębionej Miłości bożej, tak otchłanna i niezgłębiona, jak samo Źródło, odwieczne wszelkich tajemnic, jak sam Bóg w troistości jedyny. Taki obraz znajdziemy dziś w dniu Bożego Ciała na całym świecie katolickim, we wszystkich częściach ziemi, po miastach i wioskach i gdzie tylko sięga krzyż i odprawia się Msza św., tam nie braknie napewno tej radosnej manifestacji ku czci eucharystycznego Zbawiciela.

Wprowadzone po raz pierwszy w r. 1246 w Belgii święto Bożego Ciała, rozszerza papież Klemens V w r. 1311 na cały Kościół a jego następca Jan XXII nakazuje w ten dzień uroczystą procesję, w której Kościół występuje z całą wspaniałością swego zewnętrznego kultu i prowadzi Zbawiciela w triumfalnym pochodzie, korząc się przed Jego Miłością i wdzięczny, że Bóg, zbliżywszy się do ludzi, nazawsze z nimi pozostał.

Jaki cel miał Kościół w zaprowadzeniu uroczystych procesyj Bożego Ciała? Nietrudno to odgadnąć. Chodziło przedewszystkiem o publiczną cześć i adorację króla Eucharystycznego, a temsamem o przebłaganie i naprawienie tych wszystkich zniewag, jakich doznaje Bóg w tajemnicy miłości na ziemi. Bo jeśli ongiś w pierwszych wiekach chrześcijaństwa tułał się Jezus po ziemi gorzej jeszcze niż za życia swego, jeśli pod ziemią Go ukrywano, w lochach, piwnicach, więzieniach i potajemnie ukrytego na piersiach noszono zaułkami, to wzamian za to w złotych sercach ludzkich miał schronienie, w sercach, które dla Niego żyły i umierały. Dziś ma wprawdzie wspaniałe kościoły, świątynie i złociste monstrancje, ale tyle serc ludzkich nietylko zimnych i obojętnych, lecz co więcej szydzących i lżących w swej przewrotności to, co największym skarbem jest na ziemi. Aktem tedy eskpacyjnym ma być ten hołd, jaki Mu składa Kościół w dzień Bożego Ciała.

Procesja Bożego Ciała ma być radosnem wyznaniem wiary. Wszelkie poznanie, choćby tylko przez wiarę, domaga się wyznania; wiara nie jest martwą siłą leżącą w człowieku, ale chce i musi żyć. A co wewnątrz żyje, toruje sobie drogę nazewnątrż. Chrześcijaństwo i Kościół ukazały się w świecie jako widzialna społeczność, religja i religijność nie należą wyłącznie do ukrycia w sercu. Zasada wspólnoty, wzajemnego budowania się dobrym przykładem ma pełne zastosowanie i w życiu religijnem.

Ośrodkiem procesji jest Chrystus, ukryty pod postacią chleba w monstrancji. I dziwna rzecz: milczy tu potęga Jego słowa, w którem płynęła Mądrość Boża, niema już sławy i blasku Jego czynów, które Mu zjednywały wyznawców, niema tej dziwnej aureoli, jaka rozjaśniała Jego oblicze, nic niema z tej wspaniałości, coby o Bogu świadczyła, ani z majestatu, któryby

drzeniem i trwogą napełniał serca ludzkie, a przecież miliony korzą się przed tą okruszyną chleba i zginając kolana kornie śpiewają „Przed tak wielkim Sakramentem upadajmy na twarz“.

Tak było poprzez wieki całe istnienia chrześcijaństwa i tak będzie aż do skończenia świata, bo serce ludzkie dąży i tęskni za złączeniem się z Bogiem a w Eucharystji odczuwa nietylko zbliżenie się Boga do ludzi, ale wierzy, że w najdoskonalszej, objawionej religji Bóg w najwyższy i najdoskonalszy sposób zaspokaja tę ogólną potrzebę serca ludzkiego, a więc mieszka razem z ludźmi na ziemi i że Eucharystja jest uwieńczeniem i koroną, całą ludzkość i wszystkie czasy obejmującego życia, ofiary Boga-człowieka na ziemi.

Ks. Dr. Zygmunt Kozubski
Profesor Uniwersytetu Warszawskiego.

Obrońcy prawdy i sprawiedliwości.

Smutnemi faktami w dziejach Kościoła naznaczył się w Europie początek wieku XVI. Niewola awinjońska wywołała w swych skutkach szereg błędnych nauk, które skolei stały się przyczyną herezji i odstępstwa Lutra, Zwingliego i Kalwina, za czem wślad poszły długotrwałe zamieszki i niepokoje w życiu politycznem i społecznem Europy. Anglja czas jakiś ruchom sekciarskim dzielnie się opierała. Sam król Henryk VIII wystąpił ze słynnym swym listem „Assertio septem Sacramentorum adversus Lutterum“, który mu z ust papieża Leona X zjednał zaszczytny przydomek „defensor fidei“. Inne tam jednak Kościołowi groziło niebezpieczeństwo. Nieopanowany w swym charakterze, ambitny i dążący do absolutyzmu Henryk VIII nie chciał poddawać się jakemukolwiek autorytetowi, choćby to był autorytet kościelny. I dlatego, gdy Kościół nie zgodził się na rozwiązanie jego małżeństwa z Katarzyną Aragońską, porwał więzy łączące Anglię i lud jej ze Stolicą Świętą.

Promieniście na tle tego otoczenia odbijają się postacie biskupa Rochesteru Jana Fischera i Kanclerza Tomasza More'a.

Jan Fischer urodził się jako syn zamożnego kupca w r. 1459 w Beverley hrabstwie Yorku. Poświęciwszy się stanowi duchownemu i uzyskawszy w Cambridge stopień doktora św. Teologii, wkrótce zyskał sławę niepospolicie światłego umysłu, tak że najwyżsi dygnitarze państwa z Henrykiem VII na czele jego zasięgali rady. Również i Henryk VIII, który w uznaniu zasług Jana Fischera uzyskał dla niego biskupstwo Rochesteru, długie lata szczycił się, że „nikt z monarchów europejskich nie może pochłubić się współpracownikiem o podobnej cnocie i wiedzy, jak biskup Rochesteru“. Zasługą też biskupa Fischera, jeśli nie w całości, to w każdym razie w znacznej mierze było ogłoszenie przez Henryka VIII wspomnianego listu przeciw Lutrowi. Prawdomówny i szczery w swych przekonaniach biskup Jan Fischer nie

wahał się wyrzucać Henrykowi VIII jego grzesznego stosunku do, Anny Boleyn i potępiać zamiar rozwodu z Katarzyną Aragońską. Wywołało to oziębienie stosunku króla do swego doradcy, którego niejednokrotnie zwał swym „ojcem”. Skorzystali z tego nieuczciwi zauszniczy królewscy, by oskarżyć biskupa o zdradę stanu. Stawiony przed sądem nie prosił o łaskę, gdyż sprawa, w której stanął obronie, była słuszną i zgodną z sumieniem. Skazano go wówczas na karę pieniężną, wkrótce jednak ponownie, wspólnie z Tomaszem More'm oskarżono go o pogwałcenie prawa wskutek odmowy zaprzysiężenia aktu sukcesyjnego, odmawiającego Marji córce Henryka VIII z małżeństwa z Katarzyną Aragońską, praw do tronu a przyznającego te prawa dzieciom z małżeństwa z Anną Boleyn. Motywem, dla którego obaj dostojnicy wzbraniali się zaprzysiężenia aktu było to, że żadna władza świecka nie może rozwiązać małżeństwa zawartego w kościele, związek przeto Henryka VIII z Anną Boleyn musi być uznany za legalnie nieistniejący. Po roku więzienia, w którym niemałych doznał katuszy fizycznych i moralnych, znów wraz z Tomaszem More'm stawiono biskupa Jana Fischera przed sądem żądając uznania w Henryku VIII głowy Kościoła. Oczywiście żądaniu temu obaj odmówili. Kiedy zaś Papież Paweł III przebywającemu w więzieniu biskupowi Rochesteru udzielił w dniu 20 maja 1535 r. purpury kardynalskiej, podnieciło to zapalczywość ambitnego monarchy, który podpisał wyrok śmierci nieugiętego biskupa. Biskupa Jana Fischera 77-letniego wówczas starca stracono przez ścięcie w dniu 22 czerwca 1535 r. w Tower Hill w Londynie, głowę wystawiono na widok publiczny na moście londyńskim a pozostałe w rękopisach prace naukowe — spalono.

Idąc na stracenie Jan Fischer zażądał swego płaszcza honorowego, aby, jak mówił, godnie wystąpić w dniu swego wesela. Przed złożeniem głowy pod topór zaintonował jeszcze „Te Deum Laudamus“...

Obok kardynała Jana Fischera niemniej świetnie na tle tej epoki jaśnieje postać Tomasza More'a, lub, jak się sam zwał modą ówczesną, Morusa. Jeden z najwybitniejszych humanistów, osobisty przyjaciel Erazma Roterdańskiego, który w domu Morusa napisał słynną swą „Pochwałę głupoty” (*Encomium morias seu laus stultitiae*), żywy i pogodny, obdarzony dużą dozą tego, co Anglicy zwą „Sense of humour”, był on jednocześnie gorliwym i prawowiernym katolikiem, dalekim od wyrafinowanego cynizmu Erazma, Urodzony w Londynie, w r. 1480, spadkobierca wysokiego rodu wcześniej wstąpił na drogę, która mu zapewniała dostęp do wysokich godności w państwie. Popierany jako wybitny prawnik, przez kanclerza kardynała Wolsleya, został powołany przez Henryka VIII do tajnej rady królewskiej w r. 1518, niejednokrotnie używany był do spełnienia poważnych misyj dyplomatycznych. Nie przeszkadzało mu to ogłaszać jednocześnie prac literackich. Jeszcze w r. 1516 wydał swą słynną „Utopję”, satyrę ówczesnych stosunków angielskich a jednocześnie idealny obraz państwa o ustroju opartym na równości obywateli i sprawiedliwości społecznej, której całe życie gorącym był hołdowni-

kiem. Nadto ogłosił szereg balad po angielsku, dzieje Ryszarda III i wiele innych prac. Ciesząc się wielkiem zaufaniem królewskiem w r. 1529 powołany został na stanowisko wielkiego kanclerza Anglii. Na stanowisku tem wiele dobrego zdziałał dla swego kraju. Ponieważ jednak nigdy niczego nie robił wbrew sumieniu i własnym przekonaniom, nie dał się wciągnąć w awantury antykościelne Henryka VIII i nie uznał jego małżeństwa z Anną Boleyn. Wtrącony do więzienia w r. 1532 po licznych rozprawach sądowych i próbach przeciągnięcia go na stronę królewską, skazany został na śmierć, którą poniósł ze zwykłym sobie spokojem i pogodą po odmówieniu Miserere w Tower Hill w dniu 6 lipca 1535 r.

Jego przywiązanie do wiary, jego pobożność i nieugiętość sumienia są wzorem dla każdego katolika. Czy jako adwokat londyńskiego sądu, czy jako dostojnik państwowy nie zaniedbywał nigdy praktyk pobożnych i modlitwy. Nawet jako kanclerz państwa chętnie służył do Mszy św. i śpiewał na chórze w parafjalnym swoim kościele w Chelsca. Pozatem Tomasz More był wzorowym mężem i ojcem rodziny.

Zarówno Tomasz More, jak i Jan Fischer, zaliczeni byli w dniu 29 grudnia 1886 przez Leona XIII w poczet błogosławionych wraz z 52 innymi męczennikami angielskimi. Obecnie w 400 lat po ich śmierci męczeńskiej w dniu 19 maja b. r. została ogłoszona ich kanonizacja.

H. W.

Tegoroczny pamiątkowy medal papieski.

Ojciec św. przyjął 16 maja b. r. kardynała Pacelliego, który zgłosił się do Papieża z rytownikiem papieskim Aurelio Mistruzzi dla przedstawienia wzorów nowych tegorocznych pamiątkowych medali papieskich w złocie, srebrze i bronzie. Na medalach tych znajdują się wizerunki świętych Jana Fischera i Tomasza More'a

H. W.

Gawęda o Marszałku.

Do starego Krakowa.

Na Zamek Królewski, — przed dwoma miesiącami, — pociągnął wielki, potężny, wspaniały, imponujący wprost pod każdym względem, najświetniejszy orszak żałobny w historii Polski.

Naród, na miejsce spoczynku, wśród swych najpotężniejszych królów, wśród swych największych poetów i wieszczów, przy boku najdzielniejszych żołnierzy złożył zwłoki — Wodza-Bohatera, który siłą czynu zbrojnego »zduł centaury«!!

Świat cały, w hołdzie pochyliwszy czoło, przed zasługą wielkiego męża stanu, przesłał narodowi, nieutulonemu w żalu nad stratą tak wielką, swe szczere sympatje i kondolencje. — Prasa wszystkich narodów z uznaniem pisze o życiu wielkiem, pracy niepospolitej, trudach i znojach bez miary, geniuszu twórczym, tego wyjątkowego wśród narodów człowieka!

Gdziekolwiek na kuli ziemskiej znajduje się gromada Polaków, gdziekolwiek wśród chat polskich strzela ku niebu wieżyczka kościółka, tam z serc smutnych... rzewnych, strapionych, a wdzięcznych, płynie ku Bogu błagalna modlitwa za duszę ś. p. Marszałka Józefa Piłsudskiego!

Do podziemi starego Zamku.

Do grobów królewskich, by po trudach życiowych, po walkach zwycięskich o wolność, po pracy ponad siły hojnie odbudowie Ojczyzny złożonej, wśród najzasłużeńszych w narodzie, — schodzi Marszałek, by w śnie błogim spocząć na wieki...

Na wieść o Jego śmierci, wśród grobów królewskich, — gdzie od wieków panowała cisza niezmacona, nagle się ożywiło... Duchy wielkich królów, wieszczów, wodzów powstały, by z godnością powitać tak wielkiego, a Polsce tak zasłużonego bojownika, a to tembardziej, że przecież nietylko cały naród, ale cały świat przez swych delegatów temu pożegnalnemu orszakowi towarzyszył do krypt grobowych!

Do Naczelnika Państwa ubranego w mundur żołnierza polskiego z szlifami generalskimi, z orderami *Virtuti Militari*, Krzyża Walecznych, Polski Odrodzonej, Krzyża Niepodległości i wielu innych wysokich odznaczeń zagranicznych, dzierzącego w ręce buławę marszałkowską wojsk polskich, z poszanowaniem zbliża się Słowacki, twórca »Króla Ducha«, któremu i to nie tak dawno, Marszałek tu kazał zamieszkać. Teraz on oddaje temu prawdziwemu — »Królowi Ducha Polskiego« swą czołobitność.

Tuż za nim, w płaszcz odziany, z rozwichrzoną czupryną, nasz nieśmiertelny i niezrównany mocarz słowa i prorok narodu — Adam Mickiewicz, ten co »młodości podał skrzydła«, a »okiem słońca kazał ludzkości całe ogrody przeniknąć od końca do końca«, teraz staje i głosem potężnym, słyszany w każdym sercu polskim, na powitanie rzuca do stóp Marszałka garść słów ognistych, które pokolenia całe do czynów zbrojnych zapalały:

»Dzieckiem w kolebce będąc łeb urwałeś hydrze.

Młodzieńcem, zdusiłeś centaury,

Piekłu ofiary wydałeś,

Do nieba idziesz po laury!...

Jako piorun potężne twe ramię

Złamałeś! Czego rozum nie łamie!...

Po krótkiej, a tak wzniosłej przemowie powitalnej, na cześć Tego, którego wzrokiem proroczym jeszcze przed wiekiem oglądał, ustąpił Mickiewicz,

a zbliżył się do nowoprzybyłego, w siermięgę chłopską odziany, z blizną na czole, od cięcia szabli kozackiej pod Maciejowicami, zwycięzca z pod Racławic — »Bohater Dwóch światów« — i pierwszy Polski naczelnik — Tadeusz Kościuszko, by tak dostojnego gościa i drugiego z rzędu, jeszcze większego, boć zwycięskiego, Naczelnika powitać.

Tuż obok, w przepięknym od orderów lśniącem mundurze z czasów Księstwa Warszawskiego, były twórca Armji Polskiej, a równocześnie Marszałek Armji Napoleonńskiej i bohaterski prototyp żołnierza polskiego, Książę Józef Poniatowski, zasalutowawszy żołnierskim zwyczajem, serdecznie ściska dłoń swemu dostojnemu następcy, również marszałkowi Francji, a zarazem Pierwszemu Marszałkowi Polski!

Zaledwo zdołali kilka żołnierskich powitań i komplementów sobie powiedzieć, ci pierwsi Marszałkowie Polscy, gdy, sapiąc, a węża podkręcając, wyciąga rękę i silnie ściska dłoń przybytemu pogromca Turków pod Wiedniem Król Jan Sobieski. Nie szczędząc pochwał, wyraża swą radość i zadowolenie, że tak dostojnego kompana mieć będą, a który im najnowsze autentyczne a tak radosne wieści o zmartwychwstałej, a mocarnej Polsce, opowiadać będzie. Tuż przy nim staje uśmiechnięty, a nieco łamaną polszczyzną mówiący, ałe z wielkim respektem witający się Król Stefan Batory. Jako że sam Moskali rozgromił, więc też tem milej witał przybyłego Gościa, a że przytem był to król mądry, roztropny, a w dodatku ulubieniec Marszałka, — boć ten przecież okręt jego nazwiskiem obdarzyć zamierzał, — więc też odrazu powstała między nimi jakaś nadzwyczajna serdeczność i komitywa. Król, dostojnym współtowarzyszom, nie tylko o wiktory nad Moskalami pod Warszawą odniesionej opowiadać zaczął, ale zarazem o mądrej, roztropnej, a głęboko pomyślanej polityce i dyplomacji Marszałka rozpowiadał, a wszyscy, z ogromnem zaciekawieniem jego wywodów i pochwał słuchali.

Wtem, stary Jagiełło, dużym mieczem z pod Grunwaldu, drogę wśród swych następców sobie toruje, odsuwa poetów, generałów, a sam chwyciwszy w swe krzepkie ręce gościa, nie bacząc na światowe formalności — tuli go do piersi i całuje, a niezwykłą czułością i szczerością Marszałka konfuduje. — A bywajże mi ty mój najukochańszy bracie, — z litewska śpiewnym głosem peroruje stary Jagiełło, — toć my z jednych stron, z tego samego Wilna! — Ja pierwszy, węzłem małżeńskim i politycznym złączywszy Litwę z Polską, a ty znów, wszelkich sił i zabiegów dołożyłeś, by te dwa narody przez wrogów i to wewnętrznych rozdzielone, znów połączyć chciawszy! Widzę nawet, że tu do naszej dostojnej kompanji wszedłszy — przychodzisz... bez serca! — Zostawiłeś je w tej ziemi, która tylu wielkich synów Polsce dała. Zostawiłeś w naszym Wilnie serce, by tym symbolem miłości znów połączyć te dwa pobratymcze narody, przeciwko wspólnemu wrogowi, którego pod Grunwaldem rozgromiłem! I tak naprzemian, ciesząc się chwałą zmartwychwstałej Ojczyzny, a bolejąc nad rozdzieleniem Litwy z Polską, się rozplakali, żywiąc nadzieję, że nad świeżą mogiłą, znów podadzą sobie dłoń dwa pobratymcze narody!

Na ten tak rzewny, a wzniosły widok, łyzy zakręciły się w oczach Kościuszki, jako że i on kresowiec, a z serca Mickiewicza wyrwał się okrzyk — »Litwo, Ojczyzno moja — Ty jesteś jak zdrowie!«

Wiść o przybyciu Marszałka lotem błyskawicy się rozniosła wśród cieni, wielkich bohaterów Polski. Wszyscy, czempredziej spieszą i cisną się do dostojnego gościa. Wśród sławnych pancernych rycerzy, słynnych bohaterów wieków dawnych, spieszą i ci, co w napoleońskich wstawali się bojach, od Moskwy do Somosierry, od Egiptu do San Domingo i ci, co pod Ostrołęką sławę oręża upamiętnili i te szare, a bohaterskie szeregi z 63-go roku, z Trauguttem na czele...

Za żołnierzami i ludźmi wojskowymi, jako że ci zawsze gotowi, spieszą inne wybitne osobistości. Jednym z pierwszych, niby płomień ognisty, wpada Szopen, nasz nieśmiertelny, a w miłowaniu ojczyzny nieprześcigniony Mistrz Tonów. Spóźnił się trochę Sienkiewicz, boć nie sam, ale zarazem całą sforę swych bohaterów wraz z Laudańską chorągwią do Marszałka prowadzi. Przedstawia ich skolei, więc mały, dzielny, a pełen poświęcenia Pan Michał Wołodyjowski, typ bojownika polskiego. Tuż obok, jego kompan, Skrzetuski Zbaraża bohater, a z nimi zacięty, nieustępliwy, z litewskiej ziemi Kmicic — Częstochowy obrońca, a obok nieśmiały, a szczery i odważny, Longin Podbięta, któremu wiecznie docina i figle zeń stroi, jowialny, a jednooki Zagłoba. — Chciał właśnie jakiś nowy koncept z okazji przybycia Marszałka wypowiedzieć, gdyż w dobrym humorze był Zagłoba, jedno dlatego, że Polska w piętnastu latach po odzyskaniu wolności, stała się daleko potężniejszą niż była kiedykolwiek w historii, a powtóre, że mając wzięcie w niebie, miał dostęp do niewyczerpanych zasobów niebieskich nektarów, które też bez frasunku w wielkiej mierze spijał. Chciał właśnie Marszałka cichaczem na lampkę staro-miodu, małmazją zwanego, zaprosić, aby tak więcej języka o sprawach polskich zachwyć.

A tu naraz powstaje niespodziewany rwetes i rozgardjasz. Ten i ów z królów i zasłużonych mężów, gniewnie brwi ściąga, gotów surowem słowem poskromić śmiałków, którzy z takim rozgwarem, tupotem, hałasem, nie zważając ani na królów, ani na wodzów, ani na poetów i pisarzy, tylko tak bez wszystkiego, rozpychają dostojne towarzystwo i otoczywszy Marszałka huknęli na całe gardło, aż się chóry anielskie skonfundowały — »My Pierwsza brygada!...«

»Dziadek«, widząc swych dawnych towarzyszy, tych żołnierzików szarych, zabiedzonych, wynędzniałych, co szli z nadzieją w sercu i prawdziwie rzucili »na losu stos«, swe młode życie dla Ojczyzny, ogromnie się nimi ucieszył i na całe gardło »Brygadę« spiewał, buławą marszałkowską niby batutą, takt wybijając. Z przyjemnością, obecni, a nawet sam generał Dąbrowski, wsłuchiwali się w tony piosenki żołnierskiej, tak dziś w Polsce popularnej.

Zapanowało to dziwne koleżeństwo, które się tylko napotyka albo na ławie szkolnej, albo... na froncie, w rowach strzeleckich. Każdy chce z »Dziadkiem« pogadać, dłoń ucisnąć, jakiś żołnierski komplement powiedzieć, rany

śmiertelne, a tak przedziwnie błyszczące, pokazać!... Boć to ci prawdziwi legjoniści go tam kołem żołnierskiem otoczyli, a nie ta plejada, sypiąca fałszywe pochlebstwa, a szukająca żłobu i honorów. Toć to ci, co znów wojny i trudy walki przechodzili, co to z ran na Polu Chwały legli!... Tak się to wszystko rozsławiało, rozgadało, rozśpiewało, że stary »Dziadek« odżył i w miłym towarzystwie troski życiowe o dobro i sprawę Ojczyzny — zapomniał.

Przy tym wesołym rozgwarze, który się nawet królom i zasłużonym mężom udzielił, nawet nie zauważono, jak do tych podziemi wawelskich w karłych szeregach, w błękitnych mundurach weszli, bohaterowie z pod Kijowa, Lwowa, Berezyny i Radzymina. Toć to ochotnicy z Ameryki, co rzuciwszy warsztat pracy, stanowiska, posady, poszli walczyć pod jego przewodem za Ojczyznę. Teraz, przed swym wodzem stają na... Baczność!

Święty Piotr jako że sam kiedyś mieczem bronił Chrystusa, widząc wielką radość wśród zacnej żołnierskiej kompanji Polaków, wydał rozporządzenie Św. Michałowi Archaniołowi, dowódcy niebieskich sił zbrojnych, aby rozstawił strażę anielskie, by inni, Polakom, w ich wielkiej radości niebieskiej, nie przeszkadzali.

I tak dla Marszałka rozpoczął się pierwszy beztroski dzień chwały i szczęścia, który trwać będzie na wieki!...

Ks. S. A. Iciek.

Opoka Piotrowa.

(Ż okazji uroczystości św. Piotra i Pawła).

W dniu święta wielkich Apostołów Piotra i Pawła stajemy niejako u kolebki Kościoła i z podziwem spoglądamy na te dwie postacie świętych Apostołów, którym Chrystus zlecił ugruntowanie i rozszerzenie Swego królestwa na ziemi. W czerwonych szatach liturgicznych, symbolizujących ogromny żar miłości i krew przelaną za wiarę, święci Kościół ich uroczystość i w jednym z swych hymnów z radością śpiewa: „Błogosławiony Rzymie, chwalebna krwią uświęcony i jej purpurą zdobny wszystkie inne miasta pięknnością przewyższasz“. W stronę Rzymu, wiecznego miasta z jego czterystu kościołami, z jego katakumbami i grobami męczenników, ku wyżynom Watykanu spogląda dziś świat katolicki z szlachetną dumą, że na opoce Piotrowej zbudowany Kościół nie tylko oparł się burzom dziejowym i trwa niepożyty, ale też nieustraszony, niezależny głosi odwieczne prawdy Boże z taką bezwzględnością, jaka tylko prawdzie przysługiwać może. Tak, bo u Piotra jest cała prawda, z Nim złączona jest wiara w Chrystusa, On jest nie tylko ośrodkiem jedności i najwyższym autorytetem, lecz i probierzem prawdziwej wiary. Gdzie niema opoki, tam niema Kościoła i niema też Chrystusa. Stąd dla nas katolików wiara w Syna Bożego, wierność dla Kościoła i wspólność

z Stolicą Piotrową stoją w nierozzerwalnym związku. Tak jak jedna jest Głowa Kościoła niewidzialnego — Chrystus, jedna też jest i głowa Kościoła widzialnego, niezależna i suwerenna, ograniczona jedynie prawem Bożem pozytywnem i naturalnem — zastępca Boga na ziemi i następcą tego, któremu Chrystus powierzył najwyższą władzę w Kościele.

We wszelkich tworzywach socjalnych koniecznym jest autorytet; on jest regulatorem społeczeństw, elementem jednoczącym i konstytutywnym. A jeśli chodzi o Kościół, autorytet ten musi mieć wewnętrzną, rzeczywistą nieomyślność, bo autorytet w zakresie wiary i obyczajów, podległy błędowi, byłby nietylko iluzoryczny, ale wprost destrukcyjny. I dlatego ten, któremu „wszelka władza dana jest na niebie i ziemi“, który kieruje losami narodów i poszczególnymi duszami ludzkimi, ochrania, umacnia i utwierdza apostołów i ich następców, by nawet cień błędu nie przyćmił blasku Jego słów i nie zamącił pojęcia ideału życia przez Niego postawionego. Nie od ludzi tedy pochodzi posłannictwo apostołów, nie na ludzkiej mądrości, czy osobistej świętości opiera się powaga ich dzieła, ale na sile i mocy Tego, który ich wysłał i „jest z nimi po wszystkie wieki aż do skończenia świata“. Piotrowi zlecił Chrystus — jak mówi papież Bonifacy I — „twierdzę kapłaństwa“ i nieomylną katedrę nauczycielską, a innym apostołom i ich następcom jedynie w związku, jedności i zależności od Piotra, którego władza i autorytet jednoczy wszystkich ludzi bez względu na rasę, narodowość czy mowę.

Na takim fundamencie, nawet naturalnie najsilniejszym i noszącym w sobie zaród trwałości, buduje Chrystus Kościół tak ścisłej łączności z Piotrem i Jego następcami, że — jak słusznie zauważył już Tomasz Morus — „nie było wroga chrześcijaństwa, któryby nie nienawidził Stolicy Świętej i nie było wroga Rzymu, któryby wcześniej czy później nie został zdrajcą religii“.

Wspaniałą jedność i stałość Kościoła, opartego na opoce, z czcią i uwielbieniem podziwia świat cały; każdy rozkaz a nawet życzenie Namiestnika podejmują natychmiast biskupi wszystkich krajów a wraz z nimi społeczeństwo katolickie i żadna ofiara nie jest za wielka, by wcielić w czyn hasła i program Stolicy Świętej. Mogą różnić się biskupi w swych poglądach, nie mających istotnego związku z zasadami wiary i moralności, bo w obrębie jedności Kościoła istnieje szeroka skala wolności i swobody myśli, ale tam, gdzie chodzi o zasadę, zawsze są zgodni i solidarni, a wszelkie zakusy wywołania różnic i rozdzwięków, skądkolwiekby pochodziły, będą nieudalą próbą, bezowocnem zmaganiem się i zmarnowanym wysiłkiem.

Udało się Rosji sowieckiej rozbić jedność cerkwi, ale nie powiodły się próby z Kościołem katolickim; raz po raz wracają do nas biskupi i kapłani — męczennicy jako żywi świadkowie niepczytości Kościoła i wielkiej mocy Jego prawdy i cudów łaski Bożej, wiecznie czynnej w Kościele i Jego wyznawcach. Udało się pogańskiemu hitleryzmowi ujarzmić kościół protestancki i podporządkować go swoim ideom, ale biskupi katoliccy oświadczyli

wyraźnie, że raczej zejda do katakumb, a nie zdradzą swego posłannictwa i mimo kar i represyj nie zaprzestaną głosić prawdy Pańskiej, która, przetrwawszy tyle burz dziejowych, zwycięży i przetrwa i ten nowoczesny paroksyzm buntującego się przeciwko prawu Bożemu świata.

Zaiste „silny chram nasz na opoce“ po wszystkie dni, bo oparty o skuteczną modlitwę Zbawiciela, „aby byli jedno“ i o wszechpotężną Jego obietnicę „oto ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata“.

Ks. Dr. Zygmunt Kozubski
Profesor Uniwersytetu Warszawskiego.

Wymieranie polskiej mowy w Polsce.

„Francku, Francku hyboj na ferdoka i faruj na banhof po cajtunki“.

„Za nasze zindy Pana Jezusa przybili do Krojca“.

„Moja siostra chodzi do miasta biglować hemdy“.

Oto przykłady wydarte żywcem z życia codziennego. Pierwszy słyszałem z opowiadania mazurskiego chłopca z Prus Wschodnich, drugi podczas kazania pewnego księdza w polskiej wsi pod Opolem, na Górnym Śląsku, a trzeci pod Białą za Krakowem. W tych zdaniach przebija się cały tragizm ginącego narodu polskiego i każdy, kto słyszy tę mowę, łatwo uzmysławia sobie całą grozę i nieszczęście płynące z tego stanu. Zaradzić temu w pierwszych dwu wypadkach b. trudno. Pomaga nieco w tej sprawie „Towarzystwo dla ratowania szkolnictwa polskiego zagranicą“. Nie chodzi mi jednak w niniejszym artykule o sprawy poza granicami Polski, ale o to, że w samej Polsce piękna nasza mowa również wymiera i to w naszych oczach i naszych ustach. A to tem smutniejsze, iż mówiący nie tylko że nie zdają sobie z tego sprawy, i nie odczuwają całego ogromu zła, ale co groźniejsze, uważają ten stan nie tylko za dobry, ale nawet za wzorowy. Widocznie w nas już utrwalił się ten „narodu duch zatruty“, o którym powiada Krasiński, że: „to dopiero bólów ból“.

Mam na myśli żargon polskiej obecnej mowy, w którym przytacza się już nie całe porządne łacińskie zdania, co to w czasach największego upadku naszego piśmiennictwa, XVII i XVIII wieku uchodziło za szczyt wielkiej nauki i mądrości, ale poszczególne wyrazy obce wtłacza się do potwornej polskiej wykoślawionej postaci (formy).

Nie wspominam tu o tak zwanych wyrazach technicznych, zaczerpniętych z obcych języków, używanych wyjątkowo, że tak powiem, zawodowo, w różnych rodzajach rzemiosła, handlu i przemysłu, ale omówię tu wyrazy obce, używane w codziennej mowie.

Każdy z nas zaraz na pierwszy rzut oka przyzna, iż najwięcej wyrazów obcych czerpiemy z języka łacińskiego, a to dzięki wiekowemu naszemu życiu się z cywilizacją i kulturą starożytną Romy. Jej epokowe i przemądre

prawo, jej przepiękny język, zaklęty w cudne utwory mowy wiązanej i niewiązanej (prozy i poezji) działały tak czarująco na wrażliwe umysły naszych przodków, a nawet i na naszych współczesnych, że zapominali i zapominają o swej własnej mowie, o jej pięknie i czarze, a szli i idą, jak niewolnicy, za ową obcą piękną panią i ją wielbią. Można by ich porównać do dzieci, które zachwycone jakąś pięknie ubraną kobietą, opuszczają własną matkę, a idą za tamtą.

Widocznie ci panowie podzielają zdanie Jegomościa Ks. Benedykta Chmielowskiego, żywego, że tak powiem dowodu, głębokiego upadku naszej umysłowości w XVIII wieku. Twierdził on, że każdy szanujący się pisarz, a zwłaszcza mówca powinien gęsto przetykać mowę rodzinną wyrazami cudzoziemskimi, bo te są od polskich polityczniejsze. Zdaniem tego pisarza nie należy używać wyrazów takich jak: przeciwnik, donosiciel, uczeń, prostak, widok, ale „polityczniejszych“ jak: adwersarz, dolator, dyscyput, symplak, teatrum i t. d.

I dzisiaj na nieszczęście panuje ta sama zgubna zasada, że tylko to piękne, co jest mocno napaprykowane, naszpikowane wyrazami obcemi. Kto co drugie słowo nie używa wyrazów: kontakt, konsumpcja, dywersja, generacja, i całego słownika wyrazów obcych (Patrz 25 tysięcy wyrazów obcych wyd. Arcta), ten nie może uchodzić za człowieka uczonego, wykształconego, obytego, jednym słowem cywilizowanego.

Niektórzy są nawet tego zdania, że przez wprowadzenie coraz nowego zastępu cudzoziemczyzny wzbogacają polską mowę, czynią język więcej europejskim — owszem czynią go ale międzynarodowym *z a r g o n e m*. Całkiem zbyteczna praca, bo mamy przecież międzynarodowy język: esperanto. Iż takie twierdzenie jest mylne dowodzi i to, że odradzające się narody, jak turcy, nagwałt pozbywają się wyrazów obcych (perskich, greckich, ormiańskich), a ich wódz duchowy Kamal Pasza, wyznaczył wielkie nagrody dla pracowników na niwie odrodzenia języka tureckiego.

Aby się przekonać o prawdziwości mego twierdzenia co do zachwasczenia naszej mowy nie należy wiele szukać, wystarczy wziąć do ręki pierwszy lepszy dziennik, pierwszą lepszą książkę, pierwszą lepszą broszurę, ulotkę, posłuchać pierwszej lepszej mowy, czyto na zebraniu, czyto przez radio. Zauważymy łatwo, że owa zeszpecona mowa jest tworem nie tylko ludzi wyżej postawionych, ale nawet każdego sadzącego się na „styl“ kancelisty, pisarzyny, pokątnego doradcy z tą tylko różnicą, że często wyrazy używane nieodpowiednio przez tych ostatnich wywołują śmiech politowania z powodu swej dwuznaczności.

Przypatrzymy się jak poszczególne zawody używają niepotrzebnie całego mnóstwa wyrazów obcych, a zwłaszcza łacińskich w odmianie i składni polskiej.

Sądownictwo ma na pogotowiu cały arsenał bojowy począwszy od apelacji, kasacji, wotowania, corpus delicti, indagacja, obserwacja, manipulacja, experci, contumacja, exhumacja, exmisja, expertyza i całe tłumy innych.

Najbliżsi krewniacy sędowników, współpracujący z wymiarem sprawiedliwości, obrońcy (adwokaci) wprost korcami czerpią z prawa rzymskiego. Dział lekarski (medicina) poczynszy od tytułów, działów: kliniki, (tu zapożyczono cały szereg wyrazów greckich, bo widocznie było mało łacińskich), otologia (ucho), oftalmologia (oko) laryngologia, ginekologia, internista, laborant, dezynfekcja, diagnoza i t. p. i t. p. Czy rzeczywiście chodzi o to, aby obcemi wyrazami błysnąć przed oczyma prostego narodu i podnieść powagę swą? — Wystarczyłyby najzupełniej nazwy polskie. Zgodzę się, że aptekarstwo używa z pewnych względów łaciny, bo nieraz skuteczność leku zależy w wielkiej mierze od przekonania do niego chorej osoby i innych okoliczności.

Zawód następny — powołanie — który używa na każdym kroku łaciny i wprost nie może wybrnąć z tego zaczarowanego koła, to duchowieństwo. Pomińmy konieczną potrzebę używania obcego języka przy odprawianiu nabożeństwa, czyż nie można nazwy sprzętów, szat i t. p. zastąpić polskimi? Lud konfesjonał nazywa wprost spowiednicą, ambonę kazalnicą i t. p. Pocóż więc mamy refektarze, rekreacje, abstynencje, konferencje, absolucje, dysputy, dyskusje, serje, dyspenzy i legjon innych zawalidrogów cudzoziemskich?

A bankowość, kupiectwo, czyż nie mogą się poszczycić osobną a bardzo urozmaiconą gwarą powstałą z tego samego co i wyżej źródła. Producenci, konsumenci, eksperci, ekspedjenci, prokurenci, delcredere, cesja, manco, export, import i inne nowotwory biegają jak szalone po wszystkich exhibitach, contach, budżetach, saldach, bilansach i rozmaitych zatumanionych, niejasnych miejscach. Niedarmo ich patronem jest nie żaden święty Nowego Zakonu, ale wydobyty ze świata starożytnego (z lamusu) bożek grecki Hermes, w Rzymie przemianowany na Merkurego, patron kupców, spryciarzy..

A nasze urzędy czyż nie grzeszą w równej mierze? Czy nie możnaby lepiej przechrzcić naszych biur „personalnych“ na biura osobowe? A przeróżne meldunki w naszej czcigodnej armji i policji (patrz artykuł w „Sprawach Naucz.“ Wilno, 1933, rok IV. Nr. 4) zali nie są balastem utrudniającym zrozumienie myśli?

I tak możemy kolejno przepatrzeć najrozmaitsze zawody i wszędzie spotkamy to samo i to samo aż do znudzenia. Jednakże w ziarnku złego, że tak powiem nasienia i psuciu mowy pierwszeństwo ma dziennikarstwo. Tu chodzi o gwałtowny pośpiech, chodzi o to, o c z e m się mówi czytelnikom, a mniej się uważa w jaki sposób to jest podane, a jeżeli przy tem uwzględni się wyżej podane błędne zapatrywania, poglądy i sposoby „wzbogacenia“ słownictwa ojczystego, to dopiero wówczas łatwo spostrzeżemy jak wielkie straty dla piękna i czystości naszej drogiej mowy płyną z tej skażonej skarbnicy wiedzy i nauki.

Bacznie przyglądający się temu zjawisku zauważy, że dzienniki wydawane na kresach więcej dbają o poprawność mowy, aniżeli tłoczone w środowiskach czysto polskich. Za pośrednictwem dzienników wpada do naszej mowy potocznej strumień zawalidrogów zagranicznych poprzykrawanych, przerobionych, przystosowanych jako tako do składni polskiej.

Coraz to nowe dziwolągi jak nawyścigi pojawiają się na „rynku“ wśród piszących, które rażą swym wyglądem ucho i oko każdego „uczciwego“ Polaka. Naprzykład co może znaczyć osoba wysoko tangowana? Czytał książkę exlibrisowaną z biblioteki... a dalej całe tomy głupstw cudzoziemskich. W równej mierze nowsi pisarze podręczników używają tych samych sposobów np. Nowe exploracje geograficzne! Ach ta geografia uginająca się od Golsztrömów i różnych „landów“. Wypisy do dziejów historycznych. Przecież dzieje nazywają się po grecku historją (he historia) albo takie wyrażenie: Kryzys ekonomiczny wywołał przesilenie gospodarcze. Co za wyrażeniem Kryzys z grecka przesilenie, a ekonomiczny=gospodarczy. Jednem słowem nasze nieuctwo połączone z chęcią popisywania się doprowadza nas do głupstw takich jak słoma słomiana, a masło maślane! (cytrynowa limoniada, gdy limon=cytryna) Nie można w ramach krótkiego artykułu pomieścić setek i tysięcy niedorzecznych wyrażen, które bujnie zachwaszczają naszą piękną mowę i czynią ją ohydny żargonem, mieszaniną najdziwaczniejszych pomysłów: wprost maskaradą językową, gdzie każdy wyraz obcy z polskimi końcówkami, robi wrażenie cudaka: niemowląt z brodami, a starców bawiących się w piasku. Nie mogę sobie darować, żeby nie napisać o tem, co mnie bardzo razi w Wilnie: U. S. B. student U. S. B., klinika U. S. B., ogród U. S. B., gmach U. S. B. i t. p. i t. p., a czyż nie byłoby piękniej wyrazić się Wszechnica Stefana Batorego zamiast: Uniwersytet S. B. Nie wiem. Jeszcze jedno. Zastrzegam się najmocniej przeciwko temu, jakoby miałem jakiś zawód czy stanowisko. Piszę te uwagi, bo mi się zdaje, powiem raczej bo jestem o tem mocno przekonany, że dzisiejszy sposób mówienia jest niedobry, bo pragnę z całej duszy zwrócić uwagę społeczeństwa na wyżej poruszone przejawy językowe. Może się mylę? Zachęciło mnie poniekąd do tej pracy nasze ministerstwo oświaty, które wprowadza coraz te nowe polskie wyrazy na miejsce obcych i stara się uczynić język polski pięknym i czystym (wyrzucono np. wyraz magistrat, a użyto: Zarząd miejski). On jest największym skarbem i arką przymierza, przechowującą jego nawet dostojęństwo z pokolenia w pokolenie. Może zginać naród jak to widzimy na Rzymianach, a skarby językowe przetrwają w wieków dali.

W wyniku moich rozważań przychodzi myśl założenia Towarzystwa Miłośników czystości języka polskiego. Do Was, kresowiacy, którzy jesteście najbardziej wrażliwi na wszelkie naleciałości obce, ponieważ stykacie się codziennie z innym językiem, zwracam się z gorącym wezwaniem urzeczywistnienia mej myśli. Zwracam się i do Ciebie, młodzieży, spadkobiercy wielkich ideałów Filaretów i Filomatów, by i teraz z Ciebie mógł wyjść początek odrodzenia naszej pięknej mowy¹⁾. *Dr. Adam Maciurzyński*

¹⁾ Można zwracać się w tej sprawie do mnie listownie lub osobiście: Wilno ul. Pióromont 10. 6. gimn.

Wszystkie redakcje, dzielające moje zdanie, bardzo proszę o przedrukowanie niniejszego artykułu.

Na Atlantyku.

Wszędzie Cię muszę podziwiać, o Boże!
Wszędzie Twe dzieła duszę mą bawią —
Ale gdy rzucę okiem na morze,
Gdzie fale szumem Cię błogosławią,
Gdzie bezgraniczne przestrzenie wody
O Twej wielkości pienia śpiewają,
Czyto spokojne jak w zimie lody,
Czy w czasie burzy — straszną pieśń grają —
Wtedy ma dusza w myślach ustaje
I tem milczeniem część Ci oddaje.

Nadarmo czegoś szuka me oko,
Darmo się trzudzi, błądząc po falach,
Nadarmo biegnie, gdzie łuk obłoku
Styka się z morzem tam hen gdzieś w dalach —
Nic nie ułowi prócz sinej wody,
Prócz monotonnych fal przewalania
I Twej wielkości, której dowody
Ten przestwór wody duszy odśłania —
I wtedy umysł w myślach ustaje
I tem milczeniem część Ci oddaje.

Czasami tylko wodne ptaszęta
Gdzieś się okażą ponad falami —
Jakby badały morskie odmęta,
Gładząc Je zlekka swemi skrzydłami,
Jakby pytając, czy jeszcze żyją
Rybki, co z niemi w dzień piąty stworzył
Bóg Stwórca dobry — i gdzie się kryją?
Czy ich dotychczas bardzo rozmnożył?
I na te myśli, o wielki Boże!...

Chciałbym Cię kochać sercem jak morze!

Niekiedy także gdzieś z morza toni
Wybuch dymu czarnego smuga —
Stamtąd się wkrótce okręt wyłoni,
Sunąc po wodzie jak arka druga
I zda się mówić morzu z falami:

Nieście mię w strony, gdzie człowiek każe,
Jemu dał Pan Bóg władzę nad nami,
On za nas Bogu stawia ołtarze..
I na te myśli, o wielki Boże!
Chciałbym Cię chwalić głośno jak morze!

Ks. W. M.

Polska praca podróżnicza.

Osiem miljonów rodaków przebywa poza granicami Rzeczypospolitej, bądź w zwartej masie, bądź rzadko rozproszonych w obszarnych przestrzeniach Ameryki, Azji i t. d. Naogół znaczenie i wpływ, jaki posiadają w przybranej ojczyźnie, nie odpowiada ani ich sile liczebnej, ani wartościowej, które wnoszą. A przecież wartości te są niemałe, a jeżeli cofniemy się wstecz, zauważymy, że zasługi Polaków w różnych zakątkach świata są niepomierne. Uświadomienie sobie tego nie może nie podnieść na duchu naszych emigrantów, którzy poznawszy przeszłość Polaków poza granicami ojczyzny, nabrać muszą pewności siebie w stosunku do otaczającego ich obecnego społeczeństwa, wśród którego wypadło im żyć.

Przyjrzyjmy się naszym zdobyczom w dziedzinie podróżnictwa badawczego i eksploracyjnego. Niema zakątka na świecie, gdzieby nas nie było kiedyś, niema skrawka ziemi, któregooby nasi podróżnicy nie byli badali.

Rodak w dalekiej Australji z dumą może powiedzieć współobywatelowi Anglikowi: i moi rodacy pomagali wam odkrywać waszą ojczyznę; to nasz Strzelecki przed stu blisko laty wskazał wam, gdzie szukać macie złota; on to, Strzelecki, odkrył najwyższą górę Australji, którą dziś, dzięki naszemu rodakowi, znacie jako Mount Kościuszko. A gdy naszemu emigrantowi odpowie współobywatel Anglik: no i cóż z tego, jedna jaskółka nie przynosi wiosny, — emigrant odpowie mu: słusznie, jeno, że nie jeden tylko Strzelecki badał naszą Australję, bo już 70 lat przed Strzeleckim Ksawery Karnicki tutaj rybołówstwo i osadnictwo uprawiał, a Dębicki w 1843 i Zaba Napoleon w połowie XIX w. i Korzeliński Seweryn od 1852—1860 i ks. Rogalski w 1865 i Wiśniowski Sygurt 1870—73 i Malsburg w 1885—1892 i tylu innych nie poto po Australji chadzali, by bąki zbijać. A któż to, jak nie nasz Adam Mierosławski na nowo po latach odkrył i gwarem marynarsko-wielorybniczego życia ożywił zapomniane w oceanie Indyjskim wysepki St. Paul i Amsterdam.

A stąd ze skwarnej Australji w mroźną północ przerzucają się na Białe morze, na Komandory, Aleuty, Kamczatkę i Sachalin, Beringa cieśninę, Ochockie morze i Nordkap i Szpicberg — czy i tam byliśmy? A jakże; niema na kuli ziemskiej skrawka lądu i — lodu, któregooby stopa Polaka nie doty-

kała, królegoby umysł badawczy i dociekliwy Polaka nie badał. Nie sposób wymieniać ich wszystkich, więc dla przykładu wymienię tylko kilkanaście wybitniejszych nazwisk Polaków, co swoją cegiełką przyczynili się do wzbogacenia ogólnego dorobku. A więc Komandory badali między innymi dr. Dybowski Benedykt i Norozewicz Józef, dr. Hryniewiecki Leon, jako pierwszy europejczyk wzdłuż i wszerz przeszedł i zbadał Nową Ziemię, Kamczatkę badali generał Kopeć Józef, Kalinowski Jan, Dybowski Benedykt, Bohdanowicz Karol, Wimut Julian i t. d., wśród spokojnych pogańskich Ajnów długie lata żył i światło wiedzy rozłaczał Bronisław Piłsudski, jeden z trzech czy czterech europejczyków, którzy język tego ludku poznali, a jedyny na świecie znawca języka szczepu Oroczonów i Gilaków na Sachalinie. Ku biegunowi północnemu ciągnęli i zimne morza arktyczne badali liczni podróżnicy polscy, a na podbój południowego bieguna, na statku Belgica, dążyli nasi klimatolodzy i meteorologowie Arctowski i Dobrowolski.

I znowu, gdy dla „ogrzania się“ przerzucimy się w cieplejsze strefy i spojrzymy na wyspy i wysepki Oceanu, na Melanezję, Polinezję, na Nową Gwineę, gdzie w 1872 Piotr Wereszczyński projektował utworzyć niepodległą kolonję polską, wszędzie tam znajdziemy naszych, nie żadnych Pepeczków, co przybyłemu zademonstrują, że „ja sem tu“, ale ludzi poważnych, bezinteresownych badaczy, czyto będzie Jan Kubary, co dziesiątki lat badał wyspy Palaw, Ponapę, Nową Brytanję i inne, czy Wiśniowski Sygurt, Korzeliński. Sumatra i Jawa nie obce są polskim badaczom — wszak dziś jeszcze wulkanolog polski, prof. Zwierzycki bada wspomniane wyspy i jest nawet szefem holenderskiej służby geologicznej tych wysp; a przed nim nie brakło tam również Polaków, by wymienić choćby zoologa prof. Siedleckiego Michała.

Zatrzymując się jeszcze w tej części globu, spójrzmy na kontynent. Mamy Indje. Już w 1480 widzimy tu Poznańczyka Gaspra da Gama, który później, w 1500 r., krążąc z Pedro—Alvaresem Cabralem po dalekich morzach, przypadkiem odkrywa Brazylię; widzimy dalej w Indjach około r. 1550 Erazma Kretkowskiego, w 1596 r. Pawłowskiego Krzysztofa i niebawem Pawła Palczowskiego, dalej księży Andrzeja Rudominę i lwowianina Boyma Mikołaja w 1643 r. i dr. Ignacego Zagiella już w 19 wieku i Ernesta Buławę (Tarnowskiego Władysława) i innych. „Niedaleko“ stąd do Chin: jako wspomniany wyżej ks. Boym przemierza państwo smoka, pozostawiając, jako owoc swych badań szereg prac o stosunkach chińskich, „Flora schinensis“ o przyrodzie Chin, słownik i katechizm chiński. Nie był pierwszym nasz lwowianin, co obszerne ziemie chińskie przemierzał. Już w 1245 r. widzimy franciszkanina Benedykta Polaka, który od Krakowa aż do Kaskorunu, stolicy chana Mongolji wędrował, by wieść mu, wraz z Pianem de Caspino ewangelję od rzymskiego papieża. Ich to, naszego Benedykta i włoskiego Caspia relacje są pierwszemi wiadomościami o dalekim a tajemniczym kraju i setki lat skwapliwie czytane. Krążą w odpisach po Europie.

Nie była nieznana Polakom Japonja, bo już w 1642 r. słyszymy o księdzu Męcińskim Wojciechu, który tam ginie śmiercią męczeńską.

Żaden może z narodów zachodnio-europejskich tak bliskich stosunków nie utrzymywał z Persją, co Polska, czego widoczne ślady pozostały choćby w strojach szlacheckich. Chodził tam już pod koniec 16 wieku wspomniany wyżej Paweł Palczewski, w 1602 r. mieszczanin warszawski, Sefer Muratowicz, z polecenia Zygmunta III doprowadza do nawiązania stosunków handlowych z tym odległym krajem, odwiedzanym zresztą przez inne poselstwa z ramienia królów polskich, jak poselstwo Teofila Szemberga w 1638 r.; misjonarzy polskich również tam nie brak, jak ks. Młodzianowskiego Tomasza w 1657 r., ks. Drzewieckiego Hieronima, Gostkowskiego pod koniec 17 wieku, lub ks. Tadeusza Krusińskiego, używanego do misyj dyplomatycznych przez rządy Persji, Turcji i przez Watykan, Krusińskiego, który dokładnie przyglądał się stosunkom perskim i w 1728 r. poważne dzieło o nich ogłosił. Zbyt żywy był kontakt nasz z Turcją i Palestyną, by tutaj wymieniać licznych naszych podróżników w tych krajach. Zbyt liczny jest też nasz polski udział w rozjaśnianiu tajników i etnograficznych i geologicznych, geograficznych, przyrodniczych i t. d. niezmierzonej Syberji od Uralu po Kamczatkę, od mórz zimnych po krańce południowe. Nie dobrowolna to naogół była emigrancja: zesłańcami politycznymi, uczestnikami powstań narodowych polskich zaludniały się ogromne połacie Sybiru, a od taczki katorżnej po latach zwolniony, szedł nasz zesłaniec w głąb ludów i lądów, badał, odkrywał, przeogromne walory wnosił do ogólnego dorobku. Nieznana byłaby dziś Syberja tak, jak znana jest, gdyby nie setki naszych zesłańców — uczonych, gdyby nie one plejady Benedyktów Dybowskich, Czerskich, Czekanowskich, Cienkowskich, Kowalewskich, Panrexów, Hartungów, Wąglowskich, Godlewskich, Witkowskich i tylu, tylu innych.

Wyższe uczelnie katolickie na całym świecie.

Zarówno w krajach katolickich, jak i protestanckich lub nawet pogańskich istnieją i rozwijają się katolickie uniwersytety i inne zakłady naukowe o typie wyższych uczelni, przyczem w wielu wypadkach cieszą się one niezwykłą popularnością i ściągają słuchaczy z całego niemal świata. Do takich należy szwajcarski Uniwersytet Katolicki we Fryburgu. Składa się on z czterech fakultetów, ma bibliotekę liczącą ponad 340.000 tomów, naukę zaś pobiera w nim obecnie przeszło 600 studentów.

Daleko poza granice kraju sięga sława Uniwersytetu Katolickiego w Lozanum, w Belgji. Biblioteka zakładu liczy 750.000 tomów. W sześciu fakultetach kształci się tutaj 4.000 studentów.

Po wydaniu ustawy z 12 lipca 1875 katolicy francuscy skorzystali z wolności nauczania i w ten sposób powstały w Paryżu, Lionie, Tuluzie, Lille

i Angers katolickie Instytuty, zupełnie niezależne od państwa. Najważniejszą uczelnią jest tu słynny Institut Catholique de Paris, kierowany obecnie przez wybitnego uczonego, członka Akademii Francuskiej, ks. Arcybiskupa Baudrillart.

Stolica święta rozporządza szeregiem własnych uczelni wyższych. Są to: Gregorianum, który jest jakby ośrodkiem myśli katolickiej całego świata, dalej Papieski Instytut Studiów Orientalnych i Papieski Instytut Biblijny. W Medjolanie rozwija się narazie dwuwydziałowy uniwersytet pod wezwaniem Serca Jezusowego, którego rektorem jest sławny uczony O. Gemelli. W 1933 r. trzy zakłady naukowe, prowadzone przez zakony, otrzymały prawa wyższych uczelni. Są to Anselmianum OO. Benedyktynów, Angelicum OO. dominikanów i Antonianum OO. franciszkanów.

Wielką żywotność wykazuje irlandzki uniwersytet katolicki w Dublinie. Od 1923 r. istnieje uniwersytet katolicki w holenderskim mieście Nijmegen. W Polsce są fakultety teologiczne przy uniwersytetach państwowych, prócz tego istnieje, jak wiadomo, uniwersytet katolicki pod wezwaniem Serca Jezusowego w Lublinie; od roku 1933 posiada on prawa równorzędne z prawami uniwersytetów państwowych. W Hiszpanii istniały dotychczas dwa katolickie uniwersytety, prócz tego zaś dwie inne wyższe uczelnie, prowadzone przez OO. Jezuitów i OO. Augustjanów. Obecnie żadna z tych wszechnic nie egzystuje.

W Niemczech niema uniwersytetów katolickich, niektóre jednak uniwersytety państwowe posiadają fakultety teologii katolickiej, poza tem jest kilka liceów filozoficzno-teologicznych. W Austrii wszystkie uniwersytety państwowe posiadają wydziały teologiczne. W Czechosłowacji fakultety teologiczne są przy dwóch wyższych uczelniach. Na Węgrzech zaś niema ani uniwersytetów katolickich, ani fakultetów teologicznych, jakkolwiek istnieje 13 zakładów, nauczających teologii katolickiej.

Stany Zjednoczone posiadają Centralny Uniwersytet Katolicki w Waszyngtonie, prócz tego zaś jedenaście wyższych uczelni, prowadzonych przez OO. Jezuitów. Na obszarze Ameryki Południowej są trzy uniwersytety katolickie, mianowicie w Limie, Bogocie i Santiago de Chile. W Kanadzie istnieją trzy uniwersytety katolickie (Ottawa, Quebec, Montreal).

Na terenie Azji już od kilku wieków istnieje Katolicki Uniwersytet św. Tomasza w Manili, składający się z 7 fakultetów, prowadzony przez dominikanów. Jezuici stworzyli znany uniwersytet w Beirucie oraz wyższe uczelnie, posiadające prawa państwowych w Tokio, Szanghaju i Pekinie. Prócz tego utrzymują oni szereg kolegów w Indjach.

H. W.

*Tam gdzie jest cześć Boga i wiary poczucie,
Nie dojdzie aż do gruntu moralne zepsucie.*

Bp. Krasiński.

Ks. S. A. Iciek

Samochodem przez Stany Zjednoczone.

Jeżeli, miły czytelniku, w szarudze życia zdarzył ci się przykry wypadek, że z własnej nieostrożności czy wrodzonego zaciekawienia do lektury, do rąk twych wpadła niniejsza książka, to na samym wstępie, przyjmij moje autorskie współczucie za wyrządzoną ci krzywdę. Widzę jak przeglądasz obrazki, tu i ówdzie cię coś ciekawi, jakaś przygoda, wspomnienie, opowieść i tak niechcąc — wpadłeś... Zabierzesz to do domu, może tylko pożyczysz, i szybko zaczytywać się będziesz w te moje opowiadania i przygody — amerykańskie.

Szczerze się przyznam, że nigdy nie przypuszczałem, aby do życia urozmaiconego pracą duszpasterską, narodową, wojenną, na wspólne nasze nieszczęście, dołączyło się autorstwo i to w dodatku, dwutomowej książki turystycznej. Ale mogłoby być gorzej. Zamiast dwa, mogłyby, na ten przykład, być aż trzy tomy. Więc przynajmniej jakąś mamy ulgę i pociechę.

Na ten jednak karygodny uczynek mam wymówkę, rodzaj — „alibi“, jak ten, co w piątek zażądał porcji wieloryba. Gdy tego nie było na jadłospisie, domagał się kawałka rekina, a gdy i tego mu nie dostarczono, już ze spokojnem sumieniem kazał sobie podać kotlet cielęcy. Przecież chciał rybę, ale gdy nie było, więc cóż robić?!

Ze mną to samo. Chciałem być tylko szoferem i ciceronem w tej podróży. Komu innemu miałem na kark wpakować autorstwo. Niestety, sztuka się nie udała. Ogólny kryzys, a jak każdemu wiadomo, pisarze i poeci zawsze biedują, więc też żaden ze zaproszonych przeze mnie literatów polskich nie mógł mi w tej podróży towarzyszyć. Dlatego też „proszę mnie mieć za wymówionego“.

Jedynie bezinteresowna chęć podzielenia się z szerszym gronem czytelników w kraju i w Ameryce wrażeniami podróży, zniewoliła mnie do tej dla mnie trudnej i bardzo mozolnej pracy. Na wstępie nie przypuszczałem nawet, że to się „rozwałkuje“ aż na dwa tomy. Ale tyle się nabierało ciekawych spostrzeżeń, tyle się oglądało cudów natury, o jakich się ludziom nawet nie śniło, tyle zabytków historycznych, wspomnień z własnego bardzo urozmaiconego życia, że poprostu nie było innego wyjścia, jak tylko pisać i pisać...

Trudności dla mnie były tem większe, że nie jestem ani pisarzem, ani literatem.

Na życie pracuję blisko od trzydziestu lat w zawodzie duszpasterskim. Autorstwo przeważnie ograniczałem do ogłoszeń niedzielnych, do niezbędnych korespondencji i stałego podpisywania i wypisywania czeków bankowych. Ten ostatni dział w życiu religijnem Ameryki jest bardzo ważny. Większość duchownych tutejszych, tak katolickich, jak i protestanckich, dużo czasu poświęca sprawom czekowo-finansowym. Po śmierci, w spuściźnie

swym następcom, zostawiają stopy całe wypłaconych czeków bankowych i kilka książek finansowo-statystycznych.

Przyznam się, i to pod sekretem, że przez kilka lat, po wojnie, zasiadałem na stołku redaktorskim. Wywijałem piórem, niby maczugą zbójczą. Kruszyłem kopie z całą plejadą przeciwników politycznych i religijnych. Stałem się poniekąd uosobieniem „Kościoła wojującego”. Dobrego serca i bardzo litościwy wydawca, w obawie by mi się coś gorszego nie przytrafiło, ze swej nadzwyczajnej życzliwości, wypuścił mnie z tej redaktorskiej niewoli i znów wróciłem do pracy duszpasterskiej. Nie przypuszczałem nawet, że jeszcze kiedykolwiek chwycę za pióro. Ale, „dziwnie się jakoś plecie, na tym Bożym świecie“...

Z mego stosunkowo krótkiego pobytu w Polsce, zaraz po zawieszeniu broni w wojnie światowej, na licznych wiecach w Małopolsce, na rzecz pierwszej narodowej pożyczki, przekonałem się, że tam ogromnie Ameryką się interesowano i tutejszą Polonją. Godzinami, w przepelnionych do niemożliwości salach, słuchano z żywym zainteresowaniem moich opowiadań o Ameryce, jej udziale w wojnie i żywiołowej pracy wychodźstwa. Wiele się od tych miłych chwil zmieniło i to Bogu dzięki na lepsze. To właśnie zniewoliło mię do opisanie, i to dosyć obszernego, mej tury samochodowej przez Stany Zjednoczone. Dorzucam tę cegiełkę do bogatej i wciąż rozwijającej się książkowości polskiej.

Proszę uwzględnić braki i usterki językowe i stylistyczne. Na szkolnej ławie brałem się za bary z gramatyką polską, ale gdy dojechałem do anatomji głosek płynnych, twardych, gardłowych, nosowych, syczących, kwiczących, i t. d., rzucałem gramatykę pod ławę, a ukradkiem wyciągałem Sienkiewicza, gdyż to było bardziej zajmujące. Tu w dodatku, trzeba opierać dwoma językami, więc też na polu stylistycznym będą pewne niedomagania. Brak słów przy opisie ciekawych krajobrazów i wyrażeń technicznych dał mi się porządnie we znaki. Nieraz mi szło jak z kamienia, ale jakoś przebrnąłem.

Od lat marzyłem o turze samochodowej przez Stany Zjednoczone — od oceanu do oceanu. Dopiero teraz udało mi się spełnić te życzenia i marzenia. Nie chciałem się jednak zbyt spieszyć. Oczywiście pragnąłem jak najwięcej zwiedzić, po dłuższych skokach nieco wypocząć, z ciekawszymi zjawiskami bliżej się zapoznać. Podróż trwała okrągłe cztery miesiące. Spiesząc się, możnaby tę samą drogę przebyć w miesiącu, ale byłaby to średnia przyjemność. Niektóre widoki były tak piękne, tak zachwycające, że człowiek poprostu nie mógł się od nich oderwać. Wciąż mi stoją przed oczyma i zawsze tęsknię za niemi.

Starałem się jak najlepiej do tej podróży przygotować począwszy od samochodu, aparatów fotograficznych, przyrządów rybackich, a skończywszy na kuchni, ubraniu, mapach, jednym słowem zaopatrzyłem się we wszystko, co mogło być pożyteczne i potrzebne. Ponadto dłuższy czas studjowałem

historję kraju, jego początki, szybki niebyswały wprost rozwój. Książek turystycznych w języku angielskim mamy dużo, jak również opisów przyrody tutejszej. Przed wyjazdem chciałem materiał przetrawić, aby tem lepiej podróż dla siebie i czytelników wykorzystać.

W opisach wychodzę z tej zasady, że czytelnik jest moim towarzyszem podróży. Prostu zabieram go ze sobą do auta (dlatego często posługuję się liczbą mnogą) i pokazuję mu to, co jest warte widzenia. Przy każdym stanie, przez który jedziemy, podaję jego obszar, ludność i ciekawsze szczegóły historyczne lub też jego bogactwa rolnicze, mineralne i wyjątkowe cuda natury. Jednokowoż nie chcę czytelnika zbytnio szczegółami i cyframi obarczać. Podaję tylko o tyle, o ile one mogą posłużyć do wytworzenia lepszego pojęcia o ludziach, kraju, jego zasobach, bogactwach ich rozwoju.

Jak każdy przewodnik, częstokroć dorzucam własne przygody i wspomnienia z lat dziecinnych, szkolnych i z życia duszpasterskiego. Wybieram „weselsze kawały“, aby książkę uczynić poczytniejszą. Może nieraz posługuję się wyrażeniami zbyt doraźnemi, czasem to i trochę przesady, a nawet rubaszości dosypuję. Może to nie zawsze licuje ze starokrajkiem pojęciem o godności sukienki kapłańskiej. Ten i ów gotów sobie wyrobić fałszywe pojęcie, nie tylko o samym autorze, ale o duchowieństwie polskiem w Ameryce. Byłoby to nie tylko krzywdą dla tutejszego kleru, ale i dla mnie. Nawiasem mówiąc, w blisko trzydziestoletniej pracy kapłańskiej nigdy nie miałem najmniejszych zatargów czyto z władzą duchowną czy też z parafjanami, o co w Ameryce nietrudno.

Możliwe, że tu i ówdzie o pewnych sprawach kościelnych i o osobach czy w Ameryce czy w Polsce wydaję sąd przesiąknięty ironją, satyrą, a nawet zalem. Trzeba jednak pamiętać, że patrzyło się w życiu na tragedje, na krzyczącą niesprawiedliwość, na krzywdy ze strony tych, od których należało się nam spodziewać pomocy, pociechy i chociażby — sprawiedliwości!... Nawet najwierniejszy pies, gdy cierpi, na swego pana kły wyszczerza, a rękę, która może rany chce zagoić — kąsa! Tu i ówdzie, niejeden z Czytelników domysli się tych krzywd, tych tragedyj, tych zawodów, jakie nas w Ameryce, szczególnie na tle religijnem, spotkały.

Jestem szczery i otwarty. Nie imponują mi godności, orderzy i honory. Zawsze atoli wysoko cenię pracę czyto u zwykłego robotnika, czy u inteligenta, czy też u dostojnika Kościoła lub państwa. Nie chcę tu zbytnio ukrywać spostrzeżeń. Pragnę podzielić się z czytelnikiem tem wszystkim, co jest piękne i miłe, ale także nie wypada milczeniem pominąć tego, co jest przykre, gorzkie i bolesne...

Od czasu gdy rozpocząłem turę i do chwili ukazania się książki, dużo zaszło zmian. Czas na nikogo nie czeka! Jednakowoż niektóre wypadki podaję tak, jak przedstawiały się w czasie mej podróży. Do takich należy n. p. często wspominana — nasza amerykańska prohibicja, która po trzynastu latach bytowania, w łeb wzięła. Ale chciałem przedstawić sytuację

— podczas trwania prohibicji. To samo dałoby się powiedzieć o naszym położeniu ekonomicznem, które rok temu, przedstawiało się w bardzo ciemnych kolorach. Twierdzono, że dojdziemy do kompletnego bankructwa, a może nawet rewolucji. Z nastaniem nowej administracji sytuacja się cośkolwiek poprawia. Piszę w czerwcu, rok po rozpoczęciu tury. W takich sprawach najwyżej depesze i dzienniki mogą być na czasie. Nikt nie może powiedzieć, co jutro przyniesie.

Ukazało się kilka książek polskich o Ameryce, o Stanach Zjednoczonych, a szczególnie w ostatnich latach. Każda ma swoje zalety i braki. Za jedną z najlepszych uważam „Nową Kolchidę“, napisaną przez p. Gąsiorowskiego. Przez dłuższy czas autor „Pani Walewskiej“ przebywał w Ameryce i pracował wśród wychodźstwa, na stanowisku rektora kolegium Związkowego w Cambridge Springs, następnie w redakcjach pism tutejszych. Podczas wojny jeden z pierwszych rzucił zew do organizowania armji polskiej. Spotkaliśmy się później w Bordeaux, gdy przyjechał po nasz transport żołnierzy. Może w niektórych sprawach jest zbyt surowy, ale powiedziałbym, że zna stosunki i dobrze się orjentuje w sytuacji.

Inne książki także podają dużo ciekawych szczegółów o naszym życiu i pracy. Jednakowoż autorowie, ludzie fachowi, jako dziennikarze czy profesorzy i literaci byli tu zbyt krótko, aby się z nami gruntownie zaznajomić. Dlatego nieraz wynosili fałszywe o sprawach pojęcia.

Nadmienić wypada, że o Polsce, w języku angielskim, ukazało się także kilka bardzo ciekawych, a nawet powiedziałbym, pochlebnych książek. Poważne czasopisma, miesięczniki często zamieszczają o nas artykuły przychylne i bogato ilustrowane. Nie wspominam tu książek przez Polaków pisanych i na język angielski przetłumaczonych. Niektóre z nich jak n. p. Ossendowskiego i Bolesławskiego, zyskały sobie czytność, a pisarzom przyniosły nie tylko renomę, ale i finansową nagrodę. Nie przypuszczam, abym ja do tej klasy się dostał.

Po skończonej turze, poza materiałem zebrany, że tak powiem, na miejscu, zwróciłem się listownie do wszystkich Izb Handlowych w tych stanach i miastach, które zwiedziłem. Otrzymałem ogromną ilość katalogów, broszurek, biuletynów, fotografii, oraz bogato oprawnych, starannie przygotowanych i pięknie ilustrowanych prospektów reklamowych. Przez pewien czas poczta przynosiła mi całe stosy druków z najodleglejszych zakątków kraju. Nie omieszkalem z nich korzystać i chcę na tem miejscu Izdom Handlowym za ich współpracę podziękować.

Diatego też w tych dwu tomach znajdziecie dużo ciekawych szczegółów i statystyki, jakiej nie podają nawet bardzo obszerne historie. Uderzyło mnie to, że naprawdę „każda liszka swój ogon chwali“. Każdy stan i miasto posiada „najlepszy klimat, najpiękniejsze okolice, szkoły, drogi, koleje, jeziora rzeki, góry“... Jednem słowem, wszystko się to wychwala, byle tylko przyciągnąć do siebie turystę lub osadnika czy fabrykanta. To

bym podkreślił jako charakterystyczną cechę przedsiębiorczości i ruchliwości amerykańskiej, ten „go and get it spirit“, idź dostań go, nie czekaj, aż tu zabłądzi, ale go przyciągnij! W ten sposób ściągają turystów, osadników, przemysłowców, a każdy, w większej lub mniejszej ilości, wydaje — dolary, o które się wszystkim rozchodzi.

Mam nadzieję, że ten mój skromny wysiłek dopomoże do lepszego poznania i zrozumienia naszej nowej Ojczyzny. Może niejeden, a szczególnie ci z zamożniejszych, przyjadą tu kiedyś i podobną turę samochodową sobie urządzą. Przy końcu pierwszego tomu podaję więcej szczegółów w tej sprawie.

Po tych wstępnych uwagach, nic mi innego nie wypada uczynić, jak tylko miłych czytelników zaprosić, aby wsiedli do mego ośmio-cylindrowego Graham Coupe, szczelnie wypakowanego bagażami i w tak miłym towarzystwie ruszymy w podróż — samochodem po Stanach Zjednoczonych. Cieszyć się będę, jeżeli z czytania tych opisów odniesiecie chociażby część tych wrażeń, jakie odniosłem, a unikniecie trudów, jakie mi w udziale przypadły.

Pragnę jeszcze spełnić tu miły obowiązek i szczerze podziękować Wiel. Konfratrom za cenne uwagi, zachętę w tej mozolnej pracy i za staranne przejrzenie manuskryptu. Na tem miejscu również pragnę wyrazić mą wdzięczność p. Howard G. Dine z Hartford, jednemu z najlepszych fotografów i powiedziałbym — artystów w tym fachu za cenne wskazówki i bezinteresowne wywoływanie klisz z podróży mu nadesłanych. Tak samo chcę tu podziękować profesorowi Rudolfowi Tarczyńskiemu, znanemu działaczowi na niwie amerykańskiej, za te słowa może niezastężonej pochwały, jakie wypowiedział o mnie i tym skromnym wysiłku na wstępie książki. Jestem wdzięczny tym wszystkim w Ameryce i Polsce, którzy się w jakikolwiek sposób przyczynili do wydania tej dwutomowej pracy o turze samochodowej przez Stany Zjednoczone.

(c. d. n.)

Rycerzyk Jezusa.

W ogromnej a smutnej kłęsce Polaków pod Warną wielu jeńców dostało się w ręce tureckie. Dumny ze zwycięstwa siedział sultan turecki w swoim namiocie i snuł śmiało plany przyszłości. W pobliżu ujrzał uśpionego chłopca, obdartego i wynędzniałego z głodu. Wzruszenie ogarnęło dumnego władcę i rozkazał przyprowadzić pacholę do namiotu. Chłopczyna, zbudzony nagle, wydał okrzyk trwogi. Zaprowadzono go przed sultana, który wpatrując się w jego wychudzoną twarzyczkę, zapytał:

- Jak ci na imię?
- Zbigniew.
- Skąd jesteś?
- Z Polski przybyłem z moim ojcem, dworzaninem króla jegomości.
- A gdzie jest twój ojciec?
- Zginął, panie, na polu bitwy.
- Ile masz lat?
- Dwanaście.
- Podobasz mi się, chłopcze. — Wezmę cię do moich usług. Najprzód dostaniesz dobry posiłek.

- O, dziękuję, bo jestem bardzo głodny.
- Ubiorą cię w piękne szaty, zostaniesz wiernym sługą sultana i dobrym synem proroka.
- Co to jest syn proroka?
- To muzułmanin (wyznawca religii Mahometa).
- Nie, panie, tym być nie mogę.
- Dlaczego nie, mój pazu?
- Bo jestem chrześcijaninem.
- Przestaniesz nim być, rzecz prosta.
- Nie, panie! Przy chrzcie świętym otrzymałem znanie, którego nie zatrzeć nie zdoła.
- Moi słudzy są bardzo szczęśliwi. Nie brakuje im niczego, mają piękne suknie, jedzą smacznie, a ty jesteś głodny i źle odziany.
- Tak, jestem bardzo głodny, ale nie mogę przyjąć tej służby, bo jestem chrześcijaninem!
- Wyrzeknij się swej wiary, a powtarzam, że znajdziesz szczęście u mnie.
- A potem, gdy będę umierał, co powiem Bogu, który mnie po śmierci sądzić będzie?
- Jeśli będziesz się opierał, każę ci umrzeć z głodu.
- Choćbym miał cierpieć jeszcze dni kilka, to się nie lękam, bo Pan Bóg zabie-rze duszę moją do nieba, gdzie wieczne szczęście.
- O więc umieraj zaraz. Nie znoszę oporu.
- Okrutny sultan podniósł rękę, w której trzymał zakrzywioną szablę, i świsnął nią nad głową dziecka.
- Jestem chrześcijaninem. Boże! przyjmij moją duszę — powtarzał chłopiec.
- Ala o! Ale oto szabla nie spadała na jego głowę, i biedny chłopczyzna zdziwiony otworzył oczy i ujrzał sultana, który spoglądał na niego z podziwem.
- Groźny władca turecki przyzwał jednego z najznakomitszych jeńców polskich, do którego rzekł:
- Zabierz to dziecko i odwieź je do swego kraju. Gdyby wszyscy chrześcijanie byli podobni do tego chłopca, byłiby niezwyciężonymi!
- Co, chłopcze, mówi ci przykład bohaterskiego Zbigniewa? Czy nigdy nie kryłeś się z wiarą swoją i pobożnością ze strachu szyderczych kpin złych kolegów? Niechaj cię nie powstrzyma od śmiałego wyznania, żeś katolikiem. (Hostja)

Z kroniki domowej.

Dnia 13 czerwca obchodziliśmy uroczyste Imieniny Najwyższego Przełożonego Zgromadzenia naszego i wszystkich naszych Zakładów X. Antoniego Sobczaka. Jest to dla nas święto obchodzone z okazałością, na jaką nas stać. W tym roku możliwości skromne nie pozwoliły na wiele. Zdekompletowana orkiestra i zmagła uszczuplony zespół teatralny bardzo ograniczyły normalne ramy zwyczajowe ze schematyczną ścisłością przechowywane tradycyjnie z roku na rok. Orkiestra kilkuosobowa mogła się popisać tylko skromnym repertuarem, a urządzenie przedstawienia wzięły na siebie Siostry Zakładu żeńskiego.

Nasze zespoły, teatralny i muzyczny, zostały poważnie uszczuplone, oddawszy swój doborowy materiał na usługi Ojczystej sile zbrojnej. Część poszła do wojska z poboru, a pięciu małoletnich muzykantów poszło jako uczniowie do orkiestry wojskowej. Stało się to w sposób bardzo zaszczytny dla nich, jak i dla Zakładu samego. Widać, sława orkiestry naszej dobiegła aż na drugi kraniec Rzeczypospolitej, do Dawidgródka na Polesie, skoro aż stamtąd przyjechał kapelmistrz orkiestry K. O. P. z prośbą, aby mu odstąpić kilku biegłych, na wszelakiego rodzaju instrumentach, chłopackich. Wybór był niemały, bo co jeden, to mistrz, ci nasi muzykanci, ale że i wa-

runki były dość ściśle określone, trzeba było znać się i na mocno skomplikowanym alfabecie muzycznym, a to w dwu językach, bo po włosku i po polsku, i na innych kreskach, które mają ściśle zakonspirowane znaczenie, wiadome tylko wtajemniczonym, a i inne wymagania niezwykle weszły w grę — w rezultacie czterech wybrańców z dumą poszło nosić zaszczytny mundur żołnierzy kresowych Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.



Wychowankowie przed wyjazdem na Polesie. U góry: Przełożeni Zakładu oraz WP. Franciszek Bochus z Kapelmistrz orkiestry K. O. P. w Dawidgródku.

Wspominamy ich z żalem, bo chłopackowie szczerzy jak brylant, bo to i muzycanci i artyści i sportowcy pierwszorzędni, podpora naszej dumnej zakładowej „Pogoni“, w ataku lotne jak szwoleżery, w obronie nieustępliwe jak I pułk piechoty Legionów poparty w dodatku trzecią baterią I p. artylerji Legionów. Dlaczego tylko trzecą baterją? Bo ja w niej służyłem i wiem co to za srogie wojsko. Nazwiska ich godne są uwiecznienia na łamach domowej kroniki, aby pamiętali, że mają w pułku swoim godnie reprezentować nasz Zakład i jego bogatą w tradycje orkiestrę. Są to: Sowiński, Czarnecki, Kazio Tass i najmniejszy Zbysław Barański.

Niezależnie od tego kilku innych zostało powołanych do służby z bronią w rękę, jako poborowi. Niektórzy z nich przebyli w Zakładzie czas dłuższy, pozostawili tutaj najpiękniejsze lata swego wieku chłopięcego, tutaj pozostawili twarde owoce swojej pracy i stąd unieśli wspomnienia bezwarunkowo silne i miłe. Im również towarzyszą nasze życzenia i zapewnienia szczerze a miłej pamięci.

Zakład nasz jest jakby jedną wielką rodziną. Żyjemy się ze sobą w dobrej i złej doli. We wspólnej pracy i zabawie zacieśniają się węzły miłości i szacunku do serdecznej przyjaźni, — każdy odjeżdżający pozostawia po sobie kogoś, z którym był związany uczuciem przyjaźni braterskiej, dlatego taki znaczniejszy wyjazd nadaje Zakładowi cechę przykrego rozstania i wywołuje mocne wrażenie. Odjeżdżający pozostawiają po sobie żal, a uwożą z braterskim pocałunkiem wspomnienie na długo.

Z uroczystością obchodu imienin Przełożonego Generalnego złączyliśmy uroczystość zakończenia roku szkolnego Zakładowej szkoły powszechnej i zawodowej. Kilku młodzieniaszków ukończyło już studia zupełnie, a inni posunęli się o rok wyżej. Odczytanie not i rozdanie świadectw odbyło się z całym ceremonjałem w obecności władz Zakładowych i grona nauczycielskiego.

Chociaż nasi chłopcy lubią się uczyć i doceniają potrzebę oświaty, to jednak dosyć żwawo i ochoczo powitali wakacje i skwapliwie pozwracali wszystko, co im szkołę przypomina. Całkiem słusznie. Nietylko z książek można się uczyć, a szkoła też prawem kaduka przypisuje sobie monopol wszelkiej mądrości. I poza szkołą można rozszerzyć i ugruntować swoją edukację w warsztatach, w ogrodzie i na roli, nie mówiąc o sporcie wodnym i lądowym, tak na przykład football, pływanie na stawku i siatkówka.

Gramatyka niewiele ma z tem wspólnego, a prawa fizyki jeśli cośkolwiek w tem pomagają, to w sposób bardzo podświadomy, przypadkowy i powiedziałbym *ex post*.

Powstała właśnie wśród naszych wychowanków dziarska drużyna harcerzy — jakieś „wilki stepowe“ pod nazwą Zawiszy Czarnego. Piękny to hufiec i bardzo bojowo usposobiony. W marszu ziemia się trzęsie, dać im tylko buty, a żywy mur. Narazie buty mają tylko oficerowie stopni wyższych od sztabowych w górę, ale to nic, Legjony Dąbrowskiego także nie zawsze miały buty, a odnosiły zwycięstwa. — Zato postawa i wyrobienie zadziwiający. Chłop w chłopaka 1 m. 20 cm., marsowe oblicza, straszliwie namarszczone, wzrok nieulękły, z głową nieuzbrojoną, bez hełmu i misiurek, zgoła bez kapeluszy stają na swoje ćwiczenia rycerskie, jak ks. Józef Poniatowski pod Raszynem, albo ks. Jeremi pod Beresteczkiem. Takie to nieulękłe rycerstwo, nasza przyszłość i duma. — Jak jednym głosem zawołają swoje „Czuwaj“ w tonacji wysokiego „C“, to straszą się konie w stajniach, bydło porykuje przerażone, cielęta chronią się do matek, psy wyją głucho po okolicy, przestraszone żywiołem, którego mocy nie znały dotąd, a ogłupiałe z przerażenia kawki wypadają z poddaszy i lecą w świat bez pamięci. Trwa to długą chwilę, nim przerażona natura uspokoi się i wróci do równowagi.

Takim właśnie głosem teutonowie pod Agnae Sextiae przerażali Legjony Marjusa. Dzielnym wspaniałym hufiec. Uczą się teraz do pierwszego egzaminu bardzo skomplikowanych i trudnych przedmiotów, które gdy opanują, nie będzie dla nich tajemnic na ziemi i w powietrzu, w wodzie i pod wodą. Bardzo to są głębokie tajemnice — ja ich nie znam, ale wiem, że takimi roz-

porządzali tylko starzy kapłani egipscy, albo chaldejscy ale w stopniu bardzo niedoskonałym.

Starczy bowiem, jak taki skaucik już egzaminowany rzuci okiem na ślad zauważony na ziemi, a już pozna, że tędy ktoś przechodził — ba więcej jeszcze, czy był boso, czy w bucikach, czy z parasolem czy bez, jak był ubrany, ile miał zębów złotych z prawej czy lewej strony, z czego był w szkole pytany, kiedy dostał ostatni raz dwóję, co czytał ostatnio, jaki jego stosunek do sportu i jakich ma najbliższych przyjaciół, a nawet jakie plany na przyszłość. Rzecz to straszliwie tajemnicza i niesamowita, ale prawdziwa, za co ręczę, bo sam byłem świadkiem. Było to po deszczu. W uroczej naszej alei grabowej spotykam harcerza. Napoleon nie studjował mapy z takim zajęciem w chwili, gdy układał plan przejścia Berezyny, jak ten harcerz studjował ślady na ziemi.

Zbliżam się z szacunkiem, bo zawsze mam szacunek dla geniusza, i wtrącam swoją pół radę, pół pytanie.

— Tędy szedł człowiek —

— On spojrzał na mnie z wyraźnem politowaniem i rzekł tonem, w jakim Kardynał Richelieu udzielał swych wyjaśnień Ludwikowi XIII.

— Tędy szedł Zbyszek —

Chciałem odpowiedzieć, że Zbyszka uważałem dotąd również za człowieka, być może, że się mylę, ale .. ale nie dano mi przyjść do głosu.

— Tędy szedł Zbyszek. O! tutaj widać jeden sandał cały, a drugi bez obcasa — i palce bosa widać —

— Co za Zbyszek — pytam zaintrygowany?

— Ten co w kuchni jest pomocnikiem, w jasnych pompkach, w kurtce studenckiej. Wczoraj mu siostra dentystka zęba wyrwała — chodzi do klasy czwartej, nie uczy się fzyki — we wtorek dostał czwórkę, a jak dostanie czwórkę to zawsze płacze. Teraz jest zły, bo Cracovia przegrała na meczu w Wilnie, a on jest „Cracoviak“ — Teraz czyta Przyborowskiego — „Grom Maciejowicki“ — chce na zimę iść do drukarni, zawsze koleguje z Wojtkiem tym z 5-ej klasy.

— Niesłychane! niesłychane!

— Jak mi ksiądz nie wierzy, niech się ksiądz spyta — dostaję odpowiedź w tonie, w jakim Rasputin odpowiadał carowi i mój harcerz oddalił się pełen godności. — Widziałem go jeszcze na końcu alei — stał właśnie ze Zbyszkciem ubranym w jasne pompki — bluzkę studencką, na której w fałdy majestatyczne układał się biały fartuch kucharski.

Miałem dość. Co dopiero będzie, jak pozdają swoje skautowskie egzaminy — już dzisiaj nie chodzę po ziemi, tylko skaczę z kamienia na kamień, bo Bóg wie, co tam z moich śladów wyczytają. Każę sobie również zrobić buty o dwa numery większe, chociaż i to nie jest pewne.

Och harcerze! Czy może być przed wami jaka obrona. Uspokójcie nas, bo jesteśmy pełni trwogi wobec waszych sprawności i tajemniczych mocy.

X.

Za zezwoleniem Władzy Duchownej i Przełożonego zakonnego.

WYDAWCA: T-WO ŚW. MICHAŁA ARCH. W MIEJSCU PIASTOWEM.

REDAKTOR: X. JAN GÓRECKI W MIEJSCU PIASTOWEM

Drukarnia Towarzystwa Św. Michała Archaniola w Miejsku Piastowem.